

# BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

wychodzi co tydzień

w objętości jednego tomu.

26  
Rozni  
Polroc  
Kwart  
Zm. n. d. n.

W  
stępuje

1. 1

2. 1

3. 1



RY:

ocztowq

omy) 15. 12

omy) „ 6

omy) „ 8

; dzieła na-

chnej,

, poezye,  
orów na-

pamiętniki  
rzeszłości.

**4. Dzieła popularno-naukowe** ze wszy-  
stkich dziedzin wiedzy współczesnej.

WYDAWCA  
*Saturnin Sikorski.*

ZA REDAKTORA  
*Klemens Szaniawski.*

Druk Artyst Saturnina Sikorskiego, Nowy-Swiat 47

Дозволено Цензурою Варшавы, 31 Декабря 1897 г.

## WARUNKI PRENUMERATY:

### W Warszawie

Rocznie . (52 tomy) rs. 10  
 Półrocznie (26 tomów) „ 5  
 Kwartalnie (13 tomów) „ 2 kop. 50  
 Zn. odnośnienie do domu 15 kop. kwart

### Z przesyłką pocztową

Rocznie . (52 tomy) rs. 12  
 Półrocznie (26 tomów) „ 6  
 Kwartalnie (13 tomów) „ 3

**Cena każdego tomu 25 kop.**

W skład „Biblioteki dzieł wyborowych“ wchodzić dzieła następujących kategorii:

- 1. Arcydzieła literatury powszechnej.**
- 2. Dzieła beletrystyczne** (powieści, poezye, podróże, najbardziej cenionych autorów naszych i zagranicznych),
- 3. Dzieła historyczne.** szczególnie pamiętniki i opowiadania, dotyczące naszej przeszłości.
- 4. Dzieła popularno-naukowe** ze wszystkich dziedzin wiedzy współczesnej.

WYDAWCA  
*Saturnin Sikorski.*

ZA REDAKTORA  
*Klemens Szaniawski.*

Druk. Artyst Saturnina Sikorskiego, Nowy-Swiat 47

Дозволено Цензурою Варшава, 31 Декабря 1897 г.

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

№ 15.

# Czarna Peretka

(POWIEŚĆ)

B. Bolesławity

z przedmową

Teodora Jeske-Choińskiego.



*J. H. Arceusz*

---

TOM II.

---

**Cena 40 kop.**

---

W prenumeracie 30 1/2 k.

**WARSZAWA.**

**Redakcja i Administracja:**

**47. Nowy-Świat 47.**

**1898.**



# CZARNA PERŁKA.



Ł. Łolesławita.

---

# CZARNA PEREŁKA

POWIEŚĆ

Z PRZEDMOWĄ

Teodora Jeske-Choińskiego.

-----  
TOM II.  
-----

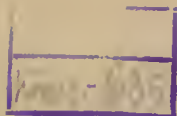
---

WARSZAWA.

Drukarnia Artystyczna

Saturnina Sikorskiego.

47. Nowy-Swiat, 47.



Дозволено Цензурою.  
Варшава, 22 Декабря 1897 года.





**Z**apukano do drzwi... Było jeszcze bardzo rano.

Lenora zaledwie wstała i narzuciła szlafrok na siebie; zdziwiona podeszła ku drzwiom, odryglowała je i w ciemnym kurytarzu ukazały się postaci jakieś niezrozumiałe, mundury... kapelusz, widocznie jakiś urzędowy orszak, który zaledwie posłyszał, że otwierano, popchnąwszy silnie podwoje, gwałtem się wcisnął do pokoju. Lenora była najpewniejsza, że się to stało omyłką i chciała przeciwko najściu zaprotestować, gdy idący przodem w zapiętym fraku jegomość, w okularach, z papierami w rękę, prowadzący za sobą czereď dość osobliwych figur umundurowanych... skłonił się z niechcenia i rzekł:

— Panna Lenora Zara... wychowanica ś. p. wojewodziny?

— Ja jestem...

Spojrzał przybyły: postać obwinionej tak była poważna i spokojna, że się chvilkę zawahał. Ale

odbywanie ciągłych przykrych obowiązków oswaja z nimi i ściera z serca litość, a odzwyczajają od grzeszności.

-- Pani jesteś oskarżoną o potajemne przywłaszczenie sobie szacownych klejnotów po ś. p. opiekunce. Są pewne poszlaki, iż się one mogły w jej rękach znajdować. Jestem wydelegowany do odbycia jak najściślejszej rewizyi i indagacyi...

Słowa te gromem zrazu zaszumiały w uszach sieroty, krew uderzyła jej do głowy; końca już nie dosłyszała... rozumiała jedno tylko, że ona była obwiniona o złodziejstwo. Ten cios, zamiast ją przybić, oburzył i podniósł uczucie chłodnej pogardy... pomiarkowała, że gniew i protestacya pogorszyłyby położenie i objawiły słabość... Nie odpowiedziała zrazu nic... Przybyły, widząc, że zdaje się nie rozumieć, o co chodzi, powtórzył dosłownie, z czem przyszedł.

Skinęła mu ręką, wskazując pokoje oba i drżąc, oddała klucze... A że uderzenie to nadto ją silnie wzruszyło, cofnęła się kilka kroków do krzesła, siadła, w rękach ukryła twarz i zapłakała cicho.

Ta rezygnacya chłodna, panująca nad sobą, tak dla urzędnika w okularach była rzeczą niezwykłą, tak był nawykł do protestacyi niewinności, do łez i gadatliwości, iż fenomen ten psychologiczny niezmiernie go zdumiał i napróżno sobie łamał głowę, czy on oznaczać mógł niewinność, czy stanowić dowód przeciw obwinionej.

Postawiono straż przy drzwiach... Zwolna rozpoczęło się przetrząsanie rzeczy drobnostkowych i zabieranie papierów. Otwarto komódkę, kufry, szafkę, rozrzucono suknie, bieliznę, posuwając dokładnie aż do śmieszności i nadużycia. W jednym pudelku znaleziono razem wszystkie pamiątki kosztowne, darowane przez wojewodzinę, których była liczba znaczna dosyć wysokiej wartości; te urzędnik przy obwiniętej opieczętował. Zabrano także papiery wszystkie...

W ciągu tego przetrząsania Lenora siedziała przybita, czując, że wymierzony cios, choćby celu nie dopiął, miał na nią rzucić niezmaszaną plamę. Mógłże się kto ująć za nią? Do godziny dziesiątej trwała umyślnie jakby przedłużona rewizya, o której cały już dom wiedział. Policya nie wpuszczała nikogo... krążyły domysły najosobliwsze. Około dziesiątej wywołano urzędnika. Był to doktor, który wypadkiem nadszedł, i oburzony chciał się dostać do Lenory, aby jej przynieść słowo pociechy, zaręczyć, że, bądź co bądź, przyjaciele jej nie opuszczą. Ale urzędnik, jakkolwiek dobrze znany doktorowi, tłómacząc się obowiązkami swojemi, odmówił mu wejścia. Był to jeden z tych ludzi słodkich przy okrucieństwie, którzy dobijają ofiarę, klaniając się i przeprasząc...

— Słuchaj, panie Welker — rzekł mu w końcu doktor zniecierpliwiony — zdaje mi się, że mnie posadzać trudno o skradzenie czegokolwiek; bądź lub

współnictwo takiego czynu, nie możesz więc się obawiać mnie wpuścić. Znam stan zdrowia tej nieszczęśliwej i niewinnej istoty, chcę ją widzieć jako doktor, nie puszczasz mnie, składając się obowiązkami — do brze. Muszę ci jednak to powiedzieć, że jeśli mnie jako lekarza potrzebować będziesz kiedykolwiek, możesz nie posyłać po mnie, bo nie przyjdę. Wcześniej sobie zamów innego.

— Ale, konsyliarzu kochany, to sprawa kryminalna!

— Jak sobie chcesz... istotnie kryminalna, bo posądzeniem osoby szlachetnej i najoczywściej niewinnej popełniacie kryminal.

— Cóż ja winien? — składając ręce, zawołał urzędnik.

— Waćpan nic... bądź zdrów...

— No, chcesz waćpan na pięć minut — zawołał przestraszony indagator — to chodź, powiem, że zasłabła i żem ciebie wezwał z urzędu.

Doktor wszedł szybko, podążył do krzesła Lenory, ujął jej rękę i rzekł półgłosem: „Bądź pani spokojną! jest to zbrodnia... ale ona nie ujdzie bezkarne. Cokolwiek się stanie, zaklinam: chłodno i z rezygnacją... przyjaciele nie zapomną o was...—Doma-  
wiał tych wyrazów, a sędzia już go oczyma wypę-  
dzał. Rewizya była skończoną... miano na miejscu rozpocząć indagacyę i protokół.

Odprowadziwszy doktora do drzwi, urzędnik

miał pospieszyć powrócić, gdy ten go w progu zatrzymał.

— Cóż po protokóle będzie?

— Zdaje się, że obwiniona zostanie uwięzioną— zimno rzekł okularowy — jeśli tu niema żadnych poszlak, to jeszcze niczego nie dowodzi, znaleziono je w Muranowie, więzienie jest nieuchronnem.

Doktór pobrał, nie odpowiedział nic, spojrział na biedną Lenorę, która już, nabrawszy męztwa, siedziała blada, spokojniejsza nieco, i wyszedł.

Nie będziemy, obyczajem nowych powieściopisarzy, dosłownie powtarzali całego badania, ani spisujących do protokołu zeznań obwinionej, które ostatecznie nie mogły doprowadzić do żadnego rezultatu, bo ani badający, ani badana nie mieli żadnej podstawy pewnej, na którejby oskarżenie lub obrona oprzeć się były mogły.

Lenora słyszała wprawdzie o klejnotach rodzinnych, ale ich nie widziała nigdy i nie wiedziała, co się z nimi stało; nie domyślała się nawet, że owe pudelka, któremi bawiła się w dzieciństwie, znalezione pod szafą, mogły niegdyś owe drogie kanaki w sobie zamykać. Wojewodzina o nich nie wspominała nigdy. Te podarki, które u niej zabrano i opieczętowano, darowane jej były w różnych czasach na imieniny, w dzień nowego roku przez nieboszczkę. Do niektórych z nich przyłączone były jeszcze zacho-

wane szczęśliwie karteczki, jako dowody pochodzenia i drogie pamiątki.

Głosem spokojnym, chłodno na wszystkie pytania bez namysłu dawała odpowiedzi. Tak samo przyznała, iż pochodzenie jej było wedle wszelkiego prawdopodobieństwa bardzo upokarzające, ale się go zapierać nie myślała. Czy cygan Dżęga był jej ojcem, lub się tylko wpierał w ojcowstwo dla uzyskania czegoś, Lenora nie była pewną. Tajemnicy wszakże z jego odwiedzin w Muranowie nie czyniła. Sędzia dziwił się jasności, dokładności objaśnień, spokojowi obwinionej; znajdował wszakże, iż jakkolwiek dowodów winy wyraźnych nie było, moralne podejrzenia istniały. A że życzenie hrabiów zawsze silniej ważyło na szali sprawiedliwości, niż niewinność cyganki, nie było powodu, aby jej nie wziąć do więzienia, pókiiby inni świadkowie przesłuchani nie byli.

Gdy protokół został podpisany, sędzia z pewnem współczuciem objawił Lenorze, iż choćby chciał tej nieprzyjemności uniknąć, zmuszonym jest aresztować ją i do więzienia odesłać, zapewniając z tą słodyczą, jemu podobnym istotom właściwą, iż więzienie nie jest tak straszne, jakby się zdawało... że ono nie hańbi i t. p.

Lenorze wszystko to zdało się snem jakimś bolesnym, słuchała i znów zrozumieć nie mogła... przynaglona ubrała się machinalnie, osłupiała, chwielejąc się na nogach, bezprzytomna zbliżyła się ku drzwiom.

Tu stali policyjanci, którzy jej towarzyszyć mieli, dalej tłum sług i mieszkańców pałacu wypełniał korytarz... cisnęli się wszyscy, aby zobaczyć ową piękną złodziejkę... podziwienie, ciekawość, oburzenie było niezmiernie... Sto oczów zewsząd znalazła skierowanych na siebie... zrobiło jej się słabo... zdało się, że umrze i potrzebowała całej siły ducha, aby móżdż zejść po schodach... Z góry, z dołu, mimo straży, widać było głowy ciekawych i słychać było szept nieżyczliwych, półuśmieszki złośliwe...

Taką drogą krzyżową, ze śmiercią w piersi zeszła zwolna do stojącej w ulicy dorożki. Powóz dookoła był otoczony ludźmi gwarzącymi ciekawie, niespokojnie, nielitościwie... Wśród twarzy obojętnych i nieznanych Lenora dostrzegła także znajomych: bładą z wściekłości twarz Zbigniewa, który się wspinał na palcach, aby na nią spojrzeć... spokojną doktora, który się wstrzymał, chcąc widzieć, jak ona to zniesie... Zdawało jej się nawet, że w pewnem oddaleniu przesunęło się nienawistne oblicze Alfreda... który jakby naumyślnie wychylał się z powozu.

Policyjanci rozpędzali... dwóch ich siadło do zamkniętej dorożki i powozik poleciał po bruku.

Do więzienia! do więzienia! — brzmiało w uszach Lenory — do więzienia oskarżonej o złodziejstwo. Wszystko to, co się względem niej dokonało, zdawało się spełnionem z umyślnem, wyrafinowanem okru-

ciemstwem; dobijano ją, aby się nigdy podnieść, nigdy w świecie pokazać nie mogła...

Hrabina tego dnia tak była wzruszoną dokonanym czynem, iż mimo swej tuszy, musiała się, wachlując, przechadzać po pokoju, czekając na Alfreda. Syn nadjechał milczący i zamyślony.

— A co? aresztowano ją?

— Aresztowano...

— Znaleźli co u niej?

— O ile wiem, tak jak nic...

— Spodziewam się, że na ten raz skończyliśmy z intrygantką — dodała pani — głowy już nie podniesie. Nie będzie dowodów, puszcza ją, ale podejrzenie pozostanie... pokazać się nigdzie nie będzie mogła, nikt jej salonu nie otworzy, i ta piekielnica Laura zostanie napiętnowana jako przyjaciółka cyganki, córki złodziejki i złodziejki.

Alfred stał milczący, zabierając się do zapalenia cygara; matka z nicukontentowaniem widziała, iż nie podzielał jej świetnych nadziei i zdawał się zafrasowanym.

— No cóż, ty nic nie mówisz? — zapytała.

— Spelniona wola mamy — rzekł Alfred — ale ja, przyznając się, nie jestem zadowolony z tego wszystkiego. Ona zabita... to prawda, my też sobie przyjaciół nie pozyskamy.

— Mniejsza o tych tam przyjaciół! zemścę się... A, proszę cię! ty ich nie znasz; dam bał, wie-



czór, obiad, wszyscy przyjdą... Jesteśmy bogaci! za pół roku ci, co na nas krzyczą, będą się łasili, że-  
bym ich wpuściła do domu.

Syn nie zdawał się zupełnie o tem przeko-  
nanym.

— Żebyś mi tylko nie za, omiał pojechać na  
Ś-to Jerską i poprosić redakcyę, żeby bez wymienie-  
nia imion, jako ciekawą sprawę sądową, historję  
Laury wydrukowali. Poprosić tych panów w Ku-  
ryerku, żeby artykuł powtórzyli. Niewiarowskiemu  
dać butelek parę szampańskiego, to on ci to napisze...

Alfredek głową dał znak, że słucha.

— To koniecznie potrzebne — dodała hrabina —  
proszę, aby to było zrobione... Na to przeznaczam  
sto rubli...

Wsunęła papierek synowi, który go schował  
do kamizelki obojętnie.

— Już tylko mnie słuchaj w tej sprawie, a ja  
ją poprowadzę, jak należy...

— A jeżeli sprawa się niedobrze skończy? —  
spytał Alfred.

— Jakież ty jesteś... tchórz! — zawołała Pyza,  
stając czerwona naprzeciw niego. — Czyż ona może  
się źle skończyć? Ona już jest skończona.

Alfred zamilkł.

---

**P**ani Laura ubierała się, mając wyjść z domu, gdy nie oznajmując się nawet, wszedł do niej doktor... Jedno wejrzenie nań dawało się domyślać, że przychodził z czemś ważnem i bolesnem, tak, że uśmiech, który się już na ustach gospodyni wykluwał, zamarł w powiciu.

— Nie mam czasu — zawołał stary — przychodzę tylko powiedzieć pani o nieszczęściu, jakie pannę Lenorę dotknęło. Hrabina podała zaskarżenie, iż podejrzewa ją o kradzież familijnych klejnotów i ma pewne dowody moralne... zesłano rewizyę i — oskarżoną zawieziono do więzienia...

Laura stała z załamanemi rękami, nie mając siły odpowiedzieć.

— Byłem nieraz świadkiem scen okropnych, męczarni fizycznych, śmierci bolesnej, walki ostatnich sił żywota z niszczącemi siły przeznaczenia, ale nie pamiętam — odezwał się doktor — abym co stra-

szniej, okrutniej bolesnego w życiu widział nad ten czyn brutalniej zemsty. Jestem przekonany, iż ani hrabina, ani syn jej nie wierzą w to, o co ją obwiniają...

— Ale co począć! Co począć! czyż ją pod tym ciosem rzucić! czy ją opuścić, nie przyjść jej w pomoc? A! doktorze, ty radź..

— Ja zrobię, co okoliczności dozwolą, pani w społeczeństwie podnieś krzyk oburzenia! Nie wahaj się stawać w obronie.

— Oskarżona o złodziejstwo, córka cygana! — mruzczała Laura. — Wystawże sobie, konsyliarzu, jak ludzie, radzi głupiemu skandalowi, cieszyć się będą z tego!

— Wpływ pani powinien to uczucie zmienić w oburzenie — dodał gorąco lekarz. — Ja użyję moich znajomości, stosunków, powagi, aby co najrychlej dopomódz sierocie.. pani i jej i sobie powinnaś bronić, boś jej okazywała współczucie. Pani możesz wiele i spodziewam się, że wiele uczynisz... Na te słowa hałas, dochodzący z przedpokoju, coś jakby sprzeczka ze służą i domaganie się wpuszczenia... przyszły, doprowadzając niecierpliwość gospodyni do najwyższego stopnia.

Po chwili sprzeczki drzwi gwałtownie odparto i wpadł blady, z rozrzuconemi włosami młodzieniec nieznamy, który nie zważając na grożącego lokaja, z oznakami niepokoju oszalonego, przyszedł do pani Laury.

— Pani! — zawołał — przychodzę cię w imieniu najokropniej uciśnionej niewinności błagać o ratunek! Panna Lenora, ten anioł dobroci... ta istota najczystsza... przed chwilą z okrucieństwem bezlitośnem porwaną została do więzienia. Panna Lenora Zara! Pani ją znasz! Wychowanka wojewodziny. Ten anioł! O! mój Boże! kto mógł się takiego dopuścić występku... to ją zabije...

— Uspokójże się, panie Zbigniewie — przerwał doktor.

— Znasz tego pana? — spytała Laura.

— Pani, ja i moja matka jej winniśmy wszystko... to była dobrodziejka nasza... jej serce! A, pani — dodał ze wzruszeniem obłąkanem — ja nie wiem! ja gotów jestem... sam siebie obwinić o niewiem jaką zbrodnię, przyjąć na siebie winę, pójść i głowę dać za nią... byle ją uwolnić!

— Cicho, cierpliwości — rzekł doktor — napij się wody, zacny panie Zbigniewie, zapach ten z wdzięczności pochodzący przynosi panu zaszczyt, ale przypuść, żebyś mnie tu nie zastał, żeby ta pani nie wiedziała kto jesteś, coby o tobie pomyślała?

— O mnie! — zawołał Zbigniew — albowż tu idzie o mnie? Niech ja zginę, byle ona ocaloną była! Ale o cóż ją oskarżyć mogli!

Gospodyni domu, słuchając tego wybuchu, patrzyła z zajęciem na chłopaka wybladłego, zbiedzonego, obudzającego litość swą postacią znędzoną,

i ubogiem ubraniem, a tyle mającego w duszy ognia i uczciwego zapachu.

Nie można się było omylić, że przez niego mówilo więcej niż wdzięczność, że w głosie, w wejrzeniu była miłość zapamiętała, ognista, młodzieńcza... Dla takiego uczucia, którażby z niewiast nie okazała najżywszej sympatii? Pani Laura spojrzała nań czule, sama podała mu wody, od której odskoczył zdziwiony, i odezwała się.

— Ale uspokójże się waćpan... zrobimy, co jest w ludzkich siłach, aby tę niecną intrygę wyjaśnić... i nieszczęśliwą ofiarę uwolnić.

Zbigniew począł ręce całować pani Laury, potem ramiona i kolana doktora.

— A! państwo jej, jak ja, nie znacie, nie widzieliście jej inaczej, jak w salonie artystką genialną, świetnem zjawiskiem... ja ją widziałem u łoża chorzech, siostrą miłosierdzia, opiekunką wieśniaków, matką sierot, sługą tych, co ich nie mają... ja ją widziałem anielską... świętą!

Laura się uśmiechnęła.

— I zobaczysz ją pan tryumfującą nad potwarzą. Na pomstę takich czynów jest Bóg, on nie dopuści zwycięstwa złym... Idź pan spokojny...

— Spokojny? — podchwycił Zbigniew — mógł ja mieć chwilę spokoju, wiedząc, że ona jest w więzieniu!

Zakrył sobie twarz rękami...

Doktór w tej chwili wstał i ujął go za ramię. — Chodź pan ze mną — rzekł — nie przeszkadzajmy pani, która potrzebne środki przedsięwzięmie...

I prawie gwałtem wyprowadził go z salonu. Ledwie się drzwi za nimi zamknęły, pani Laura poczyniała się ubierać, blada i gniewna, gdy lokaj oznajmił wizytę. Chciała jej nie przyjąć, ale ją uderzyło nazwisko lorda... owego młodzieńca, który od pierwszego wieczoru nie przestał największej sympatii okazywać dla Leonory. Pomyślała, iż jego wpływ i dobrą wolę zużytkować może.

— Prosić — rzekła.

Lord wszedł jak zawsze sztywny, chłodny, nie okazując najmniejszego wzruszenia... przywitał się, usiadł na wskazanem krześle, spojrzał na zegarek.

— Pani się wybiera?

— Nie, nie, nie myślałam wyjść z domu.

— Ja właściwie — rzekł powoli lord — nie przyszedłem z wizytą, ale prawie z interesem. Czy nie mogłaby pani, u której miałem przyjemność po raz pierwszy widzieć pannę Lenorę Zara, wytłumaczyć mi, co się przed kilku godzinami u niej stało. Plotą mi takie banialuki...

Laura przysunęła się do lorda. Jakkolwiek nawykła była trzpiotać się, spieszyć, paplać, uczuła wpływ tego temperamentu zimnego na pozór, powolnego, rozważnego i... zmusiła się do poskromienia swej żywości... Zaczęła mówić zwolna.

— Jest to historia, o której dopiero się przed chwilą dowiedziałam... całą mnie drżącą od gniewu i oburzenia hrabia znalazłeś. — Słyszałeś pewnie, iż nieboszczka wojewodzina kochała tak swą wychowankę, iż z nią siostrzeńca ożenić chciała... Wychowała ją, jak hrabia widziałeś... Ale po śmierci wojewodziny, pani hrabina (przepraszam, że ją tak nazywam) i jej syn postanowili pomścić się na sierocie za okazywane dla niej przywiązanie... Wypchnięto ją z domu... zaprzeczono zapisu... odarto z własności, na ostatek, gdy to nie pomogło, aby ją oddalić i zmusić do skrycia się gdzieś... oskarżono o... kradzież familijnych klejnotów... które w sposób niewiadomy znikły

— O kradzież! — zawołał, drgnąwszy lord, którego brwi się namarszczyły. — Ją, o kradzież! to infamia! to zbrodnia... To — przepraszam panią — to chyba fałszywe doniesienia...

— Tak jest, niestety — dodała Laura — proszę mieć na względzie, iż ona jest prawdopodobnie córką cygana... i że ten zarzut staje się niejako pochodzeniem uprawdopodobniony...

— Ale dość jest mówić z nią pół kwadransa... dość na nią spojrzeć, aby taką potwarzą być oburzoną...

Lord się zamyślił głęboko...

— Rachuba niecna... okrutna, ale głęboka — dodała Laura — nie dowiodą rzeczy niemożliwej, ale

plama zostanie. Sierocie, córce cygańskiej, więzienie wypiętnuje na czole stygmat niezmazany... O to im idzie...

— Przepraszam panią, ja myślę, że stygmat odbije się na czołach niegodziwych prześladowców— rzekł lord, okazując więcej współczucia, niżby się po jego charakterze można było spodziewać.

— Co pani myślisz począć? — zapytał po przestanku — bo nie wątpię, że nie pozostawisz jej bez obrony?

— Radź mi, hrabio, jeżeli jej życzysz dobrze... radź, proszę...

Lord się zamyślił ponuro.

— Gdyby to było w Anglii — rzekł — potrafiłbym może coś na to... Dosyćby było kaucyi do uwolnienia... tu, ja nic nie rozumiem. — Pierwszą jednak rzeczą jest, by co najprędzej uwolnioną została. Miarkujesz pani, jaki na wrażliwym umyśle tej istoty wywrze skutek... więzienie... obojętność z nią bez czucia... ze strony ludzi, nawykłych do pospolitych zbrodniarzy... Któż wie, może towarzystwo najohydniejszych przestępców i najrozpuśtniejszej halastry...

Hrabia się wzdygnął.

— A! — rzekł z cicha — są jeszcze tragedye żywe, tak prawie straszne ironią losu, jak Shakespearowskie.

I podał rękę pani Laurze.

— Jeśli ja mogę być w czem użytecznym pa-



ni — odczuwał się uroczyście — proszę mną rozporządzać. Czuję się w obowiązku dla osoby, która mnie prawdziwym natchnęła szacunkiem, okazać go czy-nem, i nie cofnę się od żadnej ofiary.

— Panie hrabio — odpowiedziała Laura—z waszej strony dosyć będzie nietajonego oburzenia, aby podziało skutecznie. Opinia u nas zawsze jest na rozkazy ludzi, jak wy znanych z charakteru niezależnego... Dosyć będzie głośno wypowiedzianego przekonania, aby ona poszła za nami... a bądź co bądź, jeśli ogół potępi ten krok, ci, co go uczynili... będą zmuszeni się wycofać...

Lord skłonił się w milezeniu..

— Żegnam panią; proszę mnie liczyć do rzędu jej pełnych szacunku przyjaciół

---

**I**zdebka, którą tymczasowo przeznaczono dla Leonory, była ciemną, wilgotną, zatęchłą i podobną do wszystkich swych sióstr więziennych w kraju, w których po staremu więzień już przez to, że został przytrzymanym, wydaje się winowajcą, i począwszy od pierwszej chwili aresztowania, jest karanym, choć nieprzekonanym o istotę czynu...

Lenora znalazła się w niej, przejechawszy nieprzytomnie ulice Warszawy, sama nie wiedząc, jak ją do niej wepchnięto. Chrzęst ryglów, które za nią spuszczano, obudził ją z odrętwienia... Obejrzała się... Choć biały dzień był jeszcze i rano, przez zapyłone szyby niewielkiego okna, na pół zabitego deskami, mało się przeciskało światła. We framudze pod nim, małeńki brudny stoliczek, tapezan z desek niezemnie okryty, jeden stolec prosty, piec polepiony świeżo... ubierały stosownie tę celę... grobową.

W powietrzu brak było tego, eo życie daje, oddechając niem, czuło się, że ona zabija, nie karmi... Woń trupia i mdła i wilgotna, zmieszana z tysiącami wyziewów murów i ludzi, pleśni, wilgoci, w zamknięciu szczelnem stała się jakąś atmosferą zabijającą. Chłód przenikliwy dał się raz pierwszy uczuć dziewczęciu, które po rozgorączkowaniu rannem ueszło dreszcze, przebiegające jak zwiastuny choroby...

Chciała płakać i nie mogła; zdało się jej, jakby coś lży trzymało wezbrane... usiadła na twardym tapczaniku, podparła się o stół chwiejący i tak pozostała, zobojętniała na wszystko... Pragnęła umrzeć... ale w cierpieniu pragnienie to jest znakiem, że żyje ma człowiek wiele... pomyślała, że mogłaby się może głodem zamorzyć... potem, jakby na urągowisko, przyszła jej na pamięć kochana matka przybrana, która ją tak pieściła, dnie wesela... szczęścia... pieśni, swobody, młodości.

Szukała w duchu, czemuż zawiniła, że ją Bóg karał tak srodze: nie mogła zrozumieć cierpienia bez winy; odpowiedziała sobie — iż w piśmie stoi słowo niezmazane o cierpieniu dzieci za ojców winy do pokoleń wielu... — Jestem dzieckiem wyklętego plemienia, może ojca winowajcy? Bóg chce ekspiacyi, i poddać się jej potrzeba. Ale dlaczegoż ranek życia tak mi się wdzięcznie uśmiechał? Któż zrozumie swe przeznaczenie??

Dreszcze zaczęły się zwiększać... otuliła się chustką... jakiś półsen nią owładnął... łza przecisnęła się przez powieki powoli, a za nią popłynęły strumienie długo tłumione... Oparła się o mur... straciła przytomność, i ciemności, wśród których jakieś niewyraźne snuły się kształty... szumiały głosy... otoczyły ją dokoła.

---

**Z** równem oburzeniem temu, które wywołała wiadomość o uwięzieniu Lenory, przyjęto artykuł gazety, opisujący złośliwie przygody zagadkowej istoty, podrzutka „przez znakomitą damę, a na umyśle skutkiem łat podeszłych osłabioną“, przybranego niemal za dziecię, zepsutego pieszcotami i t. d... Nadesłany ten artykuł, z komentarzami różnemi rozchodząc się po mieście i po prowincyi, obudzał ciekawość, jak każda sprawa tajemnicza. Opowiadano sobie obok tego, eo on mieścił, szczegóły pochwycone nie wiedzieć zkąd, a raczej zmyśłone poprostu. Kamerdyner Franciszek z Muranowa, wezwany do Warszawy, odpawiony potem napowrót na wieś, gdyż służby u hrabiny przyjąć nie chciał, powiósł go tam, gdzie wspomnienie Lenory żywe jeszcze obudzało szacunek dla niej i wdzięczność. Franciszek chodził z tym numerem, czytał go i płakał...

Drugiego dnia po przybyciu jego, gdy się wieść o uwięzieniu rozeszła... chłopak przybiegł od księdza

proboszeza, wzywając go, aby się koniecznie pofatygował natychmiast i przyniósł z sobą ową warszawską gazetę.

Franeiszek pospieszył na wezwanie i zastał proboszeza niespokojnie przeehadzającego się po pokoju plebanii. Był to mąż lat niepodeszłych jeszcze, w sile wieku, energiczny, mało mówny, ale znany z prawości charakteru. Za życia wojewodziny codzienny gość we dworze, zyskał był jej przyjaźń i zaufanie, od jej śmierci czuł się tak osierocony jak inni...

— Mój panie Franeiszk — począł spiesźnie występując naprzeciw niego, jakby mu pilno było niezmiernie coś się od niego dowiedzieć — mów że mi, co się tam stało! Uszom nie wierzę! Czyż może być, aby pannę Lenorę aresztowano...

— A! księżę proboszezu, najprawdziwsza prawda... Choć to rodzona siostra tej świętej naszej pani, ale... a? niech jej Bóg przebaczy...

— Za co? Za co aresztowano? — podehwywał proboszez...

— Któż to zrozumie? Mówią o jakichś klejnotach familijnych, które bez wieści znikły. Pan Alfred znalazł od nich pudelka w pokoju panny Lenory...

— Cóż to były za klejnoty? — zawołał proboszcz... mów!

— Ja nie wiem. Musiały być bardzo drogie... Ale eierpiąca pani żyła długo, przeżyła rewolucję 1830 r., wiemy, że wiele dawała wszystkim...

mogła sprzedać, mogła darować... czy pierwszemu, czy drugiemu mężowi.

Ksiądz chodził niespokojny...

— Ale jakże mógł kto posadzić nawet tę zacną pannę naszą! — zawołał — ja, co gdyby była tylko chciała, mogłaby wszystko sobie zagarnąć; ja, co się wypraszała od darów i serce wojewodziny, dla rodziny ostygłe, nakłonić się ku niej starała... Gdyby nie ona, groszaby po nieboszczce nie wzięli.

Kamerdyner ramionami ruszył.

— I to, proszę jegomości — odezwał się — jak złodziejkę w biały dzień policya zabrała wobec całego miasta... Przetrzęśli dom... rozgłoszono, rozbębiono...

— A! to już niepoczciwa zemsta — zawołał ksiądz oburzony. — Stałem dotąd na uboczu, nie mieszając się do niczego, ale z powołania mego i obowiązku... muszę przyjść ze świadectwem prawdzie... tembardziej — dodał — że mam od nieboszczki złeczone czuwanie nad sierotami.

Ksiądz się zadumał.

— Mówili zawsze na wojewodzinę, że była słabomyślną — rzekł — myśleli, że nic nie widzi i ludziom się daje łatwo oszukać; ale wiercie mi, panie Franciszku, ta święta niewiasta miała przeczucia; znała dobrze swoich, widziała jasno, co się stać może... Nie dowierzała ona do ostatka ani siostrze, ani narzecz-

nemu niby Alfredowi, i potrafiła obwarować na wypadek tego, co się właśnie stało, sierotę, której losem się zajęła... To cud laski Bożej.

— Ale co, księżę proboszczu? — zapytał Franciszek ciekawie... co?!

— To, co ja wiem i mam w kieszeni... ale cicho... nie trzeba nic mówić... Ja jutro do Warszawy jechać muszę... Godzina wybiła, nie ma co dłużej czekać. Nie dosyć, że jej wszystko wydarli... jeszcze potwarz i więzienie!

Franciszkowi aż się oczy stare zapaliły.

— Jakto! ojczel! dobrodzieju kochany! wybyście na to mieli jaki ratunek? wy... doprawdy?

— Tak jak mnie żywego widzisz—rzekł ksiądz spokojnie.—Wolą Bożą było, aby cnota pohańbioną została i upadła tak nisko... dla jej tam świetniejszego tryumfu... Zmuszono mnie do tego kroku... Jutro jadę do Warszawy...

Franciszek w rękę go pocałował... Z jego radości ksiądz posądził, że wypaplać może. Położył palec na ustach:

— Tylko ani słowa... proszę!... ze złymi trzeba ostrożnie, aby środków nie szukali nowych do uciemiężenia...

— Przecież, ojczel... dobrodzieju — obrażony odparł Franciszek—znałeś mnie i za życia nieboszczki... że język umiałem trzymać za zębami.



— Teraz jeszcze bardziej! *motus!* Jeśli będę mówił o wyjeździe moim, powiecie, że po oleje pojechał... Nie skłamiecie, bo i tych zabrakło... Tak! po oleje... A jaka tam droga?

— Zła! mój ojciec... na stare kości.

— A! no, jak trzeba, to trzeba... Czy asindziej masz tu jakie obowiązki? — zapytał proboszcz.

— Żadnych! Hrabina chciała mnie wziąć do siebie; odmówilem, bom stary i u nich służyć!! u nich! za nic... dali mi tedy abszyt...

— To jedź ze mną — rzekł proboszcz... Dla bezpieczeństwa... Powiozę z sobą papiery ważne, o złych ludzi nie trudno, a drogi nie znam. We dwóch będzie raźniej, biorę cię na mój koszt.

— Ale jak tylko to dla panienki, pojedę swoim! — ofuknął się Franciszek — jabym dla niej na kraj świata poszedł piechotą...

— No... i tak zacną, pocziwą... do więzienia jak złodziejkę! — zawołał ksiądz, łamiąc ręce. — Nie jest-że to dopust Boży, aby ten dyament się w ogniu i łzach wypróbował!!

*Fiat voluntas tua!* Jeszcze szczęście, że się o tem w porę dowiedział! Jutro o świcie w drogę, nie trzeba czasu tracić...

— Jam gotów dziś — rzekł Franciszek.

— A ja nie! — dodał proboszcz... i mów asindziej, że po oleje...

Uradowany stary sługa, choć niezupełnie wierzył w skuteczność interwencji proboszcza — pobiegł zaraz wszystko do podróży sposobić.

Nazajutrz wózek, trzema konikami zaprzężony, wytoczył się z dziedzińca plebanii i posunął gościńcem ku stolicy.

---

Niechże będzie pochwalony Jesus Chrystus—odezwał się głos we drzwiach mieszkania doktora, który podniósł głowę ciekawie, bo oprócz księdza Bonifratra ze skarbonką, rzadko kto tym dawnym obyczajem witał się przychodząc. Nieznajoma postać w ubiorze duchownego, widocznie z prowincyi (co krój staroświecki sutanny dowodził), ukazała się w progu.

— Przepraszam konsyliarza, czy mogę go na chwilę trudzić?

— Jestem na usługi, mam jeszcze z pół godziny wolnej — odpowiedział doktor.

— Naprzód się przypomnieć muszę, bo widzę, żeś mnie konsyliarz nie poznał. Jestem proboszczem w Muranowie, dobrach niegdyś ś. p. wojewodziny.

— A! przepraszam. Siadajcie, księżo probószczu, możecie bardzo być na rękę teraz... mamy tu...

— Ale wiem i umyślnie dla tego smutnego

wypadku wybrałem się do Warszawy — odezwał się proboszcz z westchnieniem. — Mówicie o naszej poczciwej Czarnej perle! W więzieniu! o mój Boże! gdyby jej przybrana matka z grobu powstała! w więzieniu! ale wyroki Boże niezbadane... Prosto przystępuję do rzeczy. Wiem, jakie zaufanie miała pani wojewodzina w was, szanowny panie, ja też z ufnością do niego przychodzę... Posłuchajcie mnie:

Święta dobrodziejka nasza, choć usiłowała tej familii, którą obdarzała, natchnąć miłość dla swej drogiej pupili, do ostatka nie dowierzała jednakże, przeczuwała złe i starała się ochronić nieszczęśliwą od niedostatku... Zapisala jej dwakroć, zdawało się, że ją zaręczyła na łożu śmierci z panem Alfredem, a jednak snąć zawsze miała obawę i wątpliwość... bo... potajemnie się zastrzegła od zlej woli tych państwa... a moich, na nieszczęście, terażniejszych ko-latorów.

— W jaki sposób? — spytał doktor ciekawie.

— Na lat dwa, czy półtrzecia przed śmiercią przysłała raz po mnie, czując się niedobrze, i wynurzywszy obawy swoje, złożyła w moich rękach opieczętowane i zarejestrowane familijne owe klejnoty, z najformalniejszym dokumentem notaryalnym, przeznaczającym je sierocie, jeśliby ona wyzuta została z zapisów jej poczynionych. W razie zaś, gdyby hrabina i pan Alfred dotrzymali wszystkiego i obeszli się z nią, jak byli powinni, klejnoty miały być od-

dane pani Alfredowej dla jej dzieci. Akt i klejnoty opieczętowane przyniosłem...

Doktór zerwał się z krzesła, by księdza uściskać, rozpromieniony, szczęśliwy.

— A! otóż i palec Boży! — zawołał — ale czcujcie, sierota cierpiała na sławie, na sercu, na zdrowiu, w tej chwili musiano ją przenieść do szpitala... należy się, by sprawa była słuszną i sprawiedliwą tak jawna, jak była krzywda. Co tu robić?

— No, to nie moja rzecz, ja pytam was, co tu robić — odparł ksiądz, dobywając z szerokiej kieszeni sutanny ogromny pakiet opieczętowany — oto jest ów *corpus delicti*, a oto dokument... Zdaje mi się, że z prezentacją przed sądem ani chwili dłużej czekać nie potrzeba.

— Siadaj ze mną, jedziemy do sądu... — rzekł doktor. Zadzwoń i kazał konie podać...

W kilka minut siedzieli w karetce doktora, w kwadrans zameldowali się do sędziego.

Musieli, jak zwykle, poczekać nieco w kancelarii, ale nareszcie wpuszczono ich do przybytku. Wprzód jeszcze sędzia był zawiadomionym, w jakiej sprawie życzyli się z nim widzieć, i wzięwszy księdza za prostego świadka, przyjął go zimno, niemal szydersko... A gdy proboszcz objawił, o co chodziło, gdy notaryalny akt złożył w ręce sędziego, bezstronny ów stróż prawa zmienił ton i fizyognomię, stał się grzecznym. i oświadczył, że natychmiast uwię-

ziona uwolnić każe, a stronę przeciwną zawezwie do odczytania aktu, który najmniejszej już wątpliwości nie zostawiał.

Doktór coś na końcu poszeptał sędziemu i skutkiem jego żądania poszło wezwanie urzędowe do hrabiny i pana Alfreda, aby dla przesłuchania ważnego aktu, sprawę rozstrzygającego, niezwłocznie osobiście się stawili do sądu.

To wezwanie dla dumnej Pyzy równało się prawie upokorzeniem publicznemu aresztowaniu Lenory. Hrabina nie mogła przypuścić nawet, aby osobę tak dostojną, jak ona, śmiał sąd wezwać do osobistego stawienia się. Sędziowie i notaryusze zwykle sami z księgami do niej jeździli — a w kryminalnym procesie być wezwaną, było dla pani tej obelgą. To też, odebrawszy pismo, w największym gniewie kazała jechać Alfredowi i złać sąd, jak śmiał ją! ją wzywać przed siebie... Była wzburzoną do tego stopnia, iż mało nie zachorowała. Alfred przelekły poleciał w cwał do sądu, wpadł jak burza, począł od grubiaństwa i rozgniewał urzędnika, który mu z najzimniejszą krwią odpowiedział:

— Pani hrabina jest oskarżycielką, nie pan, i ona stawić się musi dla wysłuchania konkluzyi.

— Jest wyrok i jaki? — zapytał Alfred.

— O tem się pani hrabina dowie, gdy przyjedzie...

Rzekłszy te słowa, sędzia wyszedł do drugiego

pokoju, a Alfreda porzucił osłupiałego. Wiedział on, że powróciwszy do matki z taką odprawą, będzie miał uroczyście zmytą głowę... i nic nie zrobi. Nie pojmował, jaki mógł zająć wyrok, czem spowodowany... Kanceliści, patrząc na jego zakłopotanie, śmieli się i szydzili pocichu... nie było co robić, trzeba się było wynosić. Ze strachem ukazał się w progu matki, która pila proszki sodowe.

— No, wyłajałeś tego gbura sędziego! — zawołała.—Cóż to za śmiałość tych biuralistów, żeby osoby wysoko urodzone śmieć ciągnąć do sądu! Ja się będę skarżyła, ja mu tego nie daruję...

Alfred milczał.

— No, cóż zrobiłeś?

— Nic nie mogłem zrobić—odparł syn—pokłóciłem się tylko. Zdaje się, że jakaś formalność wymaga osobistego stawienia się.

— To niech się oni, ci panowie, co są za to płatni, stawiają do mnie!

— Zdaje się, że to nie może być..

— Ja udam się do wyższej władzy!

— Ale to nic nie pomoże... niech mama się uspokoi... Cóż tam tak strasznego, na pół kwadransa stanąć przed sądem i na pięć minut zejść do kancelaryi.

— Co ty oszalałeś, czy co? Ja! ja! co jak żyję, w takim miejscu nie byłem...

— Ale, moja mamo, wyzwaliśmy sami proces

kryminalny, mama jest stroną w nim.. to są konsekwencye..

— Przecież nie może być wyroku, bo się nic nie znalazło i nic nie skończyło.

— Ja nie wiem, co zaszło, bo mnie sędzia, pokłóciwszy się, nic powiedzieć nie chciał, ale coś stanowczego zająć musiało.

— Może ona w szpitalu umarła! — zawołała hrabina.

— I to być może — rzekł Alfred.

— A! to jużbym i do sądu pojechała, żeby raz być wolną od tej cyganki...

Syn zamilkł.. Hrabina pila prozki i rzucała się, walcząc z tą myślą, jak ona, ona! pojedzie stawić się przed sądem. Ale naostatek rozbudzona ciekawość, domysł, że winowajczyni pod posądzeniem kradzieży umarła może, skłoniły ją do upokarzającej podróży. Wyprawiła tylko syna przodem, aby tak wszystko urządził, iżby, uchowaj Boże, czekać nie potrzebowała.

Alfred posłuszny poleciał co prędzej. Za nim potoczyła się majestatycznie karetą hrabiny, przy której dwóch lokajów z tyłu, a kamerdyner na koźle. Powóz stanął przed sądem i natychmiast zgromadził się tłum gawiedzi dla podziwiania wspaniałości jego.

Dobry kwadrans, czerwieniejąc ze złości, jejmość, w głąb się zasunawszy, przeklinała niezręczność najukochańszego syna, który nareszcie zbiegł błady i pominięany. Prowadząc matkę na schody, pełne róż-



żnych ludzi i wcale nie grzeszące wytwornością, miał tylko czas szepnąć na ucho hrabinie:

— Na miłość Boga, kochana mamó, bądź co bądź, przed sądem ani słowa! bo oni wszystko wpiszą do protokołu!...

— Ale co to jest?

— Niech się mama przygotuje. . jest coś niedobrego, nie wiem co, ale... złe.

— Cóż może być?

— Nie mówią nic... widzę, że proboszcz z Muranowa siedzi także wezwany..

W tej chwili otworzyły się drzwi i hrabina weszła niemi majestatycznie.

Za stołem siedział sędzia, który nie powstając, głową lekko skłonił, i natychmiast, wzięwszy papier ze stołu, czytać począł:

„Działo się w Warszawie... dnia...

W miarę jak akt czytano, hrabina, której przez uszanowanie dla jej tuszy podano fotel zaledwie mogący ją pomieścić... stawiała się na przemiany błądą, czerwoną i siną... Posłuszna jednak radzie syna, choć darła rękawiczki, nie odezwała się nic.. trzęsła się cała... Wysłuchawszy dokumentu, wezwana do podpisu, zrobiwszy dwa żydy, krzywo nakreśliła swe imię... i ze ściśnionych warg wyrwało się: — zobaczmyy...

Sędzia się uklonił. Alfred wziął matkę pod rękę i wyprowadził ją... W milczeniu przeszli schody, siddli do powozu i pojechali. W karecie hrabina za-

częła płakać z gniewu i upokorzenia. Alfred był czerwony, pałający... wściekły. Przybyli do domu... a jeszcze nie odczuwała się ani matka do niego, ani on do niej...

— Moja mamó — rzekł nakoniec Alfred — co się stało, odstać się nie może, narzekać i płakać na nic, trzeba myśleć, jak się dźwignąć z tego...

— A! tak, ja sama widzę, żem złą miała kalkulacyę — odezwała się hrabina — nie tak nam postąpić należało... ale po czasie teraz... po czasie. Cyganka zwyciężyła...

— I — dodał praktyczny Alfred — zdaje się, że w miejsce dwu kroć stu tysięcy, weźmie za klejnoty ze dwa razy tyle.

— Ale to własność rodziny!

— W takim razie familia ich wartość opłacić będzie obowiązana.

— Niech ją i z klejnotami kaci porwał — uderzając w stół pięścią, ozwała się matka.

— Pozwoli mama sobie powiedzieć... ludzie się żenią i z chłopkami i z garderobianami... cyganka, czy nie, mogłem się ożenić, byłbym nie potrzebował płacić dwóchkroć, i klejnoty byłyby nasze, a potem mógłbym się też i rozwieść... i procesować i nic nie dać.

— Ty zawsze do niej miałaś słabość, ale ja... ja myśli tej znieść nie mogę, aby krew nasza... senatorska!... a! nie mogę... duchy ojców! Cyganka...

Rozpląkało się nieszczęśliwe senatorskie dziecię.

Gdy się to działo w żałobą okrytym domu hrabiny, proboszcz z doktorem poszli do osobnej izdebki w szpitalu zwiastować Lenorze jej oswobodzenie i uniewinnienie...

W pierwszych dniach niebezpieczną, ale energiczną przerwana kuracją, przecierpiawszy gorączkę, Lenora czuła się była lepiej. Staraniem przyjaciół dano jej w szpitalu osobną czystą izdebkę, a dozór sióstr miłosierdzia uczynił pobyt w niej znośnym, w porównaniu zaś z pierwszym więzieniem, niemal wesołym... Pomiędzy obwinioną a dozorczynią jej, siostrą Felicją, zawiązała się przyjaźń najczulsza. Powołanie miłosierdzia dziwnie wyszlachetnia duszę; siostra Felicja była osobą bardzo mało wykształconą, ale pobożną i poświęconą bliźnim; dziesięć lat tej ofiary u łoża chorych, z cierpiącymi, uczyniły ją aniołem cierpliwości, dobroci, poświęcenia skromnego i nadzwyczajnej przenikliwości umysłu. Lenora znajdowała u niej pociechę, z nią czuła się prawie uspokojoną, a widok tej ofiarnej niewiasty unosił ją aż do pożądania poświęcenia się podobnego...

Leżała jeszcze, ale zrezygnowana, ukojona na duchu, przejednana ze światem i przebacząca krzywdę nieprzyjaciółom... Na białej kołderce, która ją okrywała, przez cały dzień spoczywało „Naśladowanie Chrystusa Pana,” które jej siostra przyniosła... Cała ubrana w biel, ze swą ciemną, ale zbladłą twarzą, ognistymi

oczyma, czarnemi rozpuszczonemi włosami, wydawała się uroczo piękną, bo mistrzyni boleść umie także do ideału rozpromieniać człowieka, jeśli dusza upokorzona przyjmie ją jak błogosławieństwo...

W tym stanie ducha błogim, który wynagradza największe cierpienia ideą sprawiedliwości nadziemskiej, czuwającej nad człowiekiem — znalazł ją doktor i proboszcz muranowski.

Gdy ich ujrzała we drzwiach, gdy ujrzała oblicze przyjazne, uśmiechnięte kapłana, do którego, jak do ojca duchownego, nawykła była od dzieciństwa, wyciągnęła ku niemu ręce z uśmiechem i okrzykiem:

— A! co za szczęście!

— Dziecko moje! — zawołał rozrzuwiony kapłan — dziecko moje! przynoszę ci i zwiastuję od progu uwolnienie, uniewinnienie, tryumf... Wszystko skończone.

— Byćże to może! w jaki sposób?

— Uspokój się pani — rzekł doktor — ksiądz proboszcz opowie jej wszystko. W każdej chwili możesz powrócić do domu; nie ma już ani cienia wątpliwości. Żli ludzie zawstydzeni zostali.

— O mój Boże! o mój Boże! — wołała Lenora, składając ręce — jam się już tego spodziewać nie śmiała. To chyba święty ten anioł, matusia moja droga, zstąpiła z niebios i dała świadectwo niewinności dziecięciu.

— Zaprawdę, ołgadłaś! — rzekł proboszcz — je-

śli nie ona, cień jej, głos jej, wola rozstrzygnęły. Staryszka pamiętała na wszystko, знаła ludzi, a kochała cię jak córkę... Dala tego dowód, składając na ręce moje osobno spisany akt urzędowy, tyżący się owych klejnotów, które są tobie przeznaczone... Dziś wszystko się to wyjaśniło przed sądem... jesteś wolną i, Bóg dał, niezależną... Wartość tego daru przechodzi to, co ci było zapisane...

— Ja tego przyjąć nie mogę...—odezwala się Lenora.

— Zaczekaj, oto jest akt i słowa nieboszczki: „Znając szlachetne usposobienie i bezinteresowność wychowawcy mojej i to przewidzieć mogę, że daru mojego przyjąć nie zechce — ale ją zaklinam z za grobu w imię miłości, jaką dla mnie miała, ażeby go nie odrzucała, jeśli nie chce, bym bolała nad tem, że najgorętsza wola moja się nie spełni... Rodzinie mej zostawiam więcej, niż wartość tych klejnotów, które były moją osobistą własnością.“

Lenora słuchając płakała, doktor i ksiądz milczeli.

— Są potrzebniejsi odemnie — odezwala się pocichu — darem jej rozporządzę... w myśl jej... to później... ale jam niewinna i wolna!... Jam czysta...

— I najmocniej proszę — przerwał doktor — ani się bez mojego pozwolenia ruszać z łóżka, ja wieczorem przyjadę po was... nie wprzódy...

Zostawiając proboszcza, któremu w pomoc przy-

sza siostra Felicya, doktor odjechał. Zaczna zakonnica na wieść o uniewinnieniu Lenory, do której się sercem całym przywiązała, wbiegła zaplakana z radości i rzuciła się jej na szyję.

— Błogosławione imię Pańskie! — zawołał .. błogosławione imię Tego, który niewinnych dźwiga i podnosi.

— Cudem — dodał proboszcz. — Sławmy imię Jego...

I kapłan ukląkł, aby odmówić modlitwę dzięczynną, a Lenora ze złożonemi rękoma, siedząc w łóżku zaplakana, powtórzyła słowa modlitwy. Scena była rozczulająca...

Doktor nie bez przyczyny chciał, by Lenora wypoczęła jeszcze, nim ją do domu przeniosą, bo choć radość leczy, są wypadki, że jej znękanе serca znieść nie mogą. Chciał przytem, ażeby tryumf sieroty uczynić tak głośnym i uroczystym, jak jawne i okrutne było prześladowanie. Pojechał do pani Laurry, rozerwał do znajomych, dano znać Lordowi, który nie przestał się interesować Lenorą, Zbigniewowi i matce jego; postanowiono, aby jak najwięcej osób pojechało po chorą i odwiozło ją do dawnego mieszkania, okazując jej zasłużone współczucie.

Pan Alfred powracał wieczorem od prawnika, do którego wysłała go matka na naradę, czyby przeciwko aktowi ś. p. wojewodziny prawnie coś działać nie można — gdy w pobliżu pałacu Zamoyskich spo-

tkał ten szereg powozów... odprowadzający Lenorę. Poznał ją siedzącą w karecie z doktorem, panią Laurę, Lorda, kilku jego przyjaciół, i odgadł łatwo znaczenie tego rodzaju manifestacyi. Zbladł, zagryzł usta, ale się w nim, zazwyczaj obludnym, tak wszystko wzburzyło, iż wróciwszy do domu, pohamować się nie mógł. Wpadł do pokoju matki, rzucając o stół kapeluszem, z wyrazem takiego dzikiego gniewu na twarzy, iż się hrabina przelękała.

— Co ci jest? Alfredzie? co ci jest.

— To są łajdaki! to niepoczciwi ludzie... to szuje! to demagogi... gałgany!

— Ale kto?

— Ta niepoczciwa Laura, ten doktor intrygant, głupi Lord...

— Cóż znowu się stało?

— Wystaw sobie mama! Cała ta czereda pojechała do więziennego szpitala po cyganek, i z paradą największą odwieźli ją do jej mieszkania, ulicami głównymi, do bramy pałacu, w tryumfie! Brakło tylko chorągwi i muzyki... Jutro po całym mieście trąbić będą... i nas potępiać...

Matka zamilkła, a po chwili:

— Dobrze! dobrze! — zawołała — niech się kręca, niech się wierca, jak chcą! ja o to nie dbam... Naszemu domowi, imieniowi i znaczeniu nie potrafią nic zrobić. To jest zawiść nikiemna tych dorobkowiczów... Ja się z tego śmieję! ja się z tego śmieję...

I wistocie dostała hrabina w tej chwili śmiechu, ale serdecznego, i natychmiast posłano po doktora, tylko już nie po starego S., który był do niecnych intrygantów zaliczony i od dnia tego stanowczo na indeksie...

Hrabina miała się w przekonaniu swoim za najniewinniejszą ofiarę demagogicznego spisku!

---



**I** tym razem sienie, schody, korytarze pełne były widzów ciekawych w pałacu, a na czele ich zapłakana, rozogniona, umuszlinała stała Kasia, wołając:

— A co? nie mówiłam?! nie powiadałam, nie przysięgałam, że to się tak skończy? A chwałaż Panu najwyższemu, że pocziwego pognać nie dał...

Gdy doktor wprowadzał na górę z siostrą Felicyą biedną chorą, i pan Roman Janusz Zarybski i pan Zygmunt Haraburda czatowali na schodach, i oboje państwo Melchiorowstwo, i mnóstwo osób nieznanach. Ta postać w bieli, wyanielona cierpieniem, promieniejąca szczęściem, przesunęła się jak zjawisko jakie nadziemskie... Wszystkim się teraz wydawało, że taką istotę, na obliczu niosącą swej niewinności dowody, występkiem nawet było posądzać. Stróż przeklinał prześladowców, choć ich imienia nie wiedział...

Lenora weszła do swych pokoików, przygotowanych na jej przyjęcie, ukwieconych, wyświeżonych od rana, i zaplakawszy, omdlała. Naówczas wszyscy, szanując to wzruszenie, po cichu odeszli, zostawiając przy niej tylko lekarza i siostrę Felicję...

Wstrząśnienie, wywołane wypadkami dnia tego, było za silne dla rekonwalescentki; mimo wszelkich zabiegów doktora, wieczorem objawiła się niepokojąca gorączka i zagroziła recydywą...

Noc spłynęła w błogiem, ale gwałtownem delirium, wśród którego chora śpiewała piosnki dziecinne, rozmawiała z wojewodziną, miała widzenia straszne, płakała, śmiała się, zrywała do fortepianu, i dopiero nad ranem uspakajające lekarstwa sen głęboki wywołały...

Przy łożu sieroty została Felicja, a na posługach Kasia, u drzwi Zbigniew, obwinięty w palto wytarte, na mrozie stróżował, czekając, czy gdzie posłać go nie będzie potrzeba... Noc całą nie zmrużyli oka przyjaciele Lenory — rano zastał ich strwożonych, doktor był ponury i milczący. Nazajutrz przybyła pani Laura, aby wyręczyć siostrę, przywiozła z sobą Stefcię, i tak mieniając się, cały dzień u łoża przebyli. Po gorączce nastąpił sen długi, który lekarz za dobry znak uważał i przerywać go nie dozwolił; przytomność zdawała się powracać, rozdrażnienie ustawać, chora budziła się, patrzyła, pytała, gdzie jest, poznawała przytomnych, uśmiechała się do nich i zmorzona

znów potrzebą snu, padała na poduszki z ustami złożonemi jak do błokiego uśmiechu.

Patrzący nie mogli się powstrzymać od łez.. W tej ciszy i oczekiwaniu przeszła i noc następująca.

Słabość się przeciągała, doktor znajdował, że nie była groźną, jednakże nie oznaczał jej kresu i nakazał spoczynek. W ciągu tygodnia chora odzyskała zupełną przytomność i zostało jej tylko osłabienie a znużenie wielkie i niemniejszy smutek. Całe dnie spędzała na cichej rozmowie z siostrą Felicją lub czytaniu „Naśladowania.“ Ale towarzyszka jej, która nie spuszczała z oka chorej, uważała, że czytanie służyło tylko za pozór może do głębokiego rozmyślenia. Długo nie przewracała kartek, patrzyła w nie osłupiałemi oczyma, po cichu płacząc, potem przewróciła kilka, chwytając się zdawała jakby losem jej rzucone wyrazy, i zadumywała się znów. Rozmowa, jeśli ją poczęła siostra Felicja, zwracała się od światła do zadań życia wyższych, do zawodów, smutków, do ciężkiej doli człowieka. Wypadki ostatnie odjęły jakby energię do walki z losem potrzebną, zdawała się pragnąć pokoju tylko, okupionego choćby ofiarą woli i nadziei przyszłości...

W ciągu słabości oznaki powszechnego współczucia odbierała Lenora nieustannie. Co odróżnia Warszawę od innych miast polskich, to zapał, z jakim ona w każdej sprawie, w której idea szlachetna jest pokrzywdzoną, bierze udział serdeczny; wszyscy

się rozgorączkowały dla uciśnionego człowieka, dla heroizmu czynu stają w obronie sprawiedliwości i głośno poświadczają, że milują prawdę i cnotę, nawet ci, dla których one są obojętne, posłuszni prądowi powołanemu, wórują masom, spieszą z głośnień współczuciem i datkiem. Na tak usposobioną społeczność wiele, wiele rachować można. Znajomi i nieznajomi zajęli się żywo sprawą pokrzywdzonej Lenory, ślano jej bukiety, wiersze, obrzucano podarkami, zapisywano u drzwi, ofiarowywano chętną pomoc... Oburzenie na hrabinę było tak wielkie, że się w pierwszych dniach nigdzie pokazać nie mogła. Alfred, znany ze swego posłuszeństwa pani matce, nie mniej był źle widzianym, unikano go, najlepsi przyjaciele nie życzyli sobie z nim pokazywać się publicznie, nikt w obronę ich wziąć nie chciał.

Dodać jednak trzeba, że mimo tak jawnej manifestacji opinii publicznej, pewna część tak zwanego wielkiego świata zachowała postawę zimną, wycofującą, nieodgadnioną. Nie wzięła ona ani strony pokrzywdzonej, ani śmiała bronić postępków hrabiny, ale rada była może widzieć w tem wszystkim objaw kwestyi społecznej w innej formie, wypadek starej walki arystokracji z demokracją. Hrabina nie była zbyt dobrze widzianą w tym świecie, ale doń należała bogactwy, imieniem i samą ekscentrycznością, z jaką praw tego pierworodztwa broniła przeciw młodszej braci. Obóz czuł, że do pewnego sto-

pnia broń i był obawiany, że nie walczył i nie  
zame tylko nie do niego mu wystąpi na rękę.

Laura, doktor, siestra Felicja, u drzewi Zbigniew,  
niekiedy wśród dnia dożyć nuda matka jej, ze swe-  
mi na świat wyrzucaniami i deklamacją *pro domo*  
*sua*, skądali zwykli towarzysze Lenory, która ze  
swej apatii i zamyślenia rzadko się w ekszeln czy-  
jem usposobieniem wyprowadzała.

Lord także przysyłał bukiety i dowiadywał się  
o zdrowie; ale ten miły dowód współczucia, z które-  
go żartowała Laura, przesładowując niem sierotę, nie  
czynił na niej wielkiego wrażenia. Bukiet wiódł na  
stoliku, a ona czytała „Naśladownice.”

Jednego przedwieczora, gdy była tak zaduma-  
ną nad ulubioną książką, powoli rozwarły się drzwi  
i postać dziwna, straszna niemal wsunęła się niemi.  
Był to mężczyzna stary, olbrzymiego wzrostu, nieco  
przygarbiony, z włosiem siwiejącym, rozczochranym,  
zarosła brodą podciętą, ubrany jak górale tatrzańscy,  
z siermięgą przewieszoną na ramieniu, z pasem, u któ-  
rego wisały noże i igły, z kijem w ręku — podo-  
bniejszy do włóczki i żebraka, niż do kogokolwiek-  
bądź innego. Twarz jego śniada, opizala, czarne  
oczy błyszczące, wargi szerokie i odęte, mimowolnie  
wyrażały typ cyganiek przypominający. Wzrost, postać  
i postać do pokoju wchodził i tylko wchodząc je-  
mu na dół, powoli przysiadł się do niego ku  
niemu. Siostra Felicja przestraszona podbiegła, aby

go zbyć jakim datkiem i wypawić, gdy od łoża chorej dał się słyszeć wykrzyk... Ujrzała wyciągniętą rękę Lenory i usłyszała głos:

— Proszę puścić! puście go...

Cygan zwolna, krok za krokiem, w milczeniu przybliżał się do łoża, nareszcie w pewnem oddaleniu od niego stanął, zapatrzył się na Lenorę, podparł na kiju i wryty tak pozostał... Głowa jego zwolna spadała na piersi, kołysała się i zwisała... wzrok spadł zwolna na ziemię.

W twarzy Lenory malowały się razem przestach, rozrzewnienie, oczekiwanie; patrzyła nań i powoli łzy z jej oczów pociekły.

Ta scena niema przedłużyła się z podziwieniem siostry Felicyi w groźny sposób... jakby gotując wybuch, którego się można było domyśleć.

Cygan podniósł powoli głowę, na Lenorę spoglądając, i poruszał nią, litując się.

— Oj tak — rzekł łamanym jakimś językiem — wiedział ja dobrze, jak się to skończyć musi! I skończyło się tak, jak ja czuł i przeczuwał! Wzięli moje dziecko z pod płota, aby rzucić pod płot...

— Dżęga — przerwała cicho Lenora — niesprawiedliwym jesteś.

— Albo myślisz, że ja nie wiem o wszystkim — rzekł powoli — ja tu już dawno patrzę zdaleka; a pocom się miał zbliżyć, żeby palcami wytykali cygana i — cygankę. Ale w końcu serce się ścisnęło. My-

ślałem, taki pójdę, taki zrobię, taki jej powiem, niech się nie balamuci, niech nie wierzy. Gdy kasają, to prawda, ale gdy się łaszą — kłamstwo... Za uśmiechem złość siedzi... Otby lepiej ci było z nami... ze mną. Ty dla nich nie stworzona...

Hej! hej! — mruczał dalej, postukując kijem. — W górach, w Tatrach, spokojniej.. pusto... dziko, i kraj stworzony jak dla nas... Pędzą z Węgier, to się przerzucim na polską stronę, a gnają z polskiej, to na madziarską. W Tatrach niema nikogo, tylko orły, kilka kóz i nas kilkoro.. Wiatr szumi i bory jodłowe płaczą...

Lenora słuchała i łzy jej z powiek ciekły... Stary obejrzał się na siostrę Felicję, jakby się lękał, żeby go nie wygnała, a widząc ją, stojącą spokojnie z załamanymi rękami, bladą, wsłuchaną w jego mowę dziwnie szorstkiego, boleśnego dźwięku, powoli jakimś niemal zwierzęcym ruchem zgiął się i na ziemię przysiadł u łóża.

— Pozwólcie mi posiedzieć — rzekł, obracając się do siostry — ona mnie zna, ona powie, kto ja... toć dziecko moje.

Felicja milczała...

— Ty chora — mówił po chwili — o ja wiem, oni ciebie prześladowają. Ale bo dzikiej sokołicy w kurzem gnieździ nie siedzieć... oj! nie! Wypieścili sokolicę moją, aby ją potem żywą skubać...

Chciałem ja ciebie wziąć, bom wiedział, że ich

dobrodziejstwa nieszczęście niosą, że nie przyswoją oni ciebie, ani ty ich pokochać nie będziesz... Co to za ludzie, to kukły postrojone, i już zapomnieli, jak ich pradziadowie błądzili po lasach, drąc się z niedźwiedziami... Co nam z niemi? my innej krwi i innego serca, a oni do nas, jak kraska do wrony niepodobni... komu Bóg wroną i krukiem być kazał, darmo cudze pióra brać — darmo. Napisano na twarzy — czarne przekleństwo...

I ty je nosisz... dziecko... choć ci je białe ręce ścierały...

Zamilkł chwilę.

— Gdzieżeś bywał, Dżęga? — ozwała się słabym głosem Lenora, patrząc na niego.

Starzec ręką zawałaną przesunął po twarzy i uśmiechnął się szydersko, zważając, że unikała go nazywać ojcem i ołpark:

— Ty panuńku nie wierzysz sobie, że stary Dżęga i stara Marana twymi rodzicami! nieprawdaż! czemu mi nie powiesz — ojcze! Mnieć w sercu miłoby posłyszeć było, że dziecko się do mnie przyznało, choć ono w cienkich szatach, a ja w grubych... Ale tak! gdy kukulka jaje złoży w gnieździe cudzem... ani ta, co je wysiedziała, ani ta, co zniosła, do niego się nie przyznają; tobie kukulką być... bez gniazda...

— Al powiedzże mi! — przerwała gwałtownie Lenora, wyciągając ręce ku niemu. — Ty przecież wierzysz w tego Boga, co nas przeklął, i modlisz się



w jedną noc księżycową do niego, choć wiesz, że cię nie wysłucha... Powiedz mi, na imię wielkiego Ducha, zaklinam... jesteś ty ojcem moim?...

Cygan białemi zębami się rozśmiał.

— A coby mi było za cudzem chodzić dzieckiem? Czy myślisz, żem ja grosza żądny?... Nie...

Dobyl z zanadrua wór skórzany i na podolek koszuli wysypał parę garści dukatów świecących...

— Jam nie ubogi... Zabiliśmy na węgierskiej granicy kupca... pożywilo się nas trzech na długo, a żyjemy niczem... wiatrem... dymem... i podplomykiem...

Na te słowa: zabiliśmy! Lenora twarz zakryła.

— Co tobie, dziecko! — śmiejąc się, rzekł cygan, który złoto przesypał do worka. — Cóż to zlego zabić jednego z nich, kiedy oni nas secinami bili! Oni mają wszystko! zapanowali nad światem, nad ziemią, każde drzewo ich, każdy kamień naznaczony, każda kropla wody policzona, a my na ziemi żyć musim i nie mamy nic. My w wojnie — a gdy na wojnie spotka się żołnierz z żołnierzem, który silniejszy zabije i obedrze...

Zabijając oni mnie!

Widząc, że Lenora płakała rzewnie, stary cygan począł ją po swojemu uspokajać.

— Daj ty pokój tym łzom, ja jego sam nie mordował, inoni patrzył... to mi się czasem dośladło. Ja

nie lubię krwi. Zjadłszy jej, jak czosnek człowiek nosi w sobie... ani się zbyć.

— Więc ty... jesteś ojcem moim! — zawołała we łzach.

Siostra Felicya podbiegła ku niej, podtrzymując i pocieszając.

— A na cóżby mi było kłamać! — rzekł stary — Nie wierzysz! ale się w tobie cygańskie odezwie serce... prędzej, później zatęsknisz za stepem, pustynią i włóczęgą... Co wielki Duch kazał, to się spełni... Niech oni kropią wodą swoją, nie zmyją skóry czarnej, ani czarnego przekleństwa.

Westchnął.

— Pójdiesz i ty w świat! — dodał.

A boby ci nie lepiej było... tu nad tobą królują, tam my sami sobie pany... Ja nie mogę żyć bez gór, ja zejść zimą w dolinę, powądruję po zakopconych mieściskach i nie mogę oddychać ich powietrzem... ale od puchu odwyknąć trzeba, od białego chleba i od wszystkich kajdan ludzkich... my nie ludzie... my cygany...

Ilenora milczała; oczy jej schły spieczone; słuchała tej mowy przerywanej, niewyraźnej, która się w nasze słowa ująć nie daje, dorozumiewała się jej raczej niż rozumiała...

W duszy biednej istoty rodziła się coraz gwałtowniejsza żądza nawrócenia tego człowieka, zdziwczego wśród cywilizowanego świata, dźwigającego

resztki barbarzyństwa odwiecznego, jakiejś innej pierwotnej, niepojętej epoki.

Ojciec i dziecko stali od siebie przedzieleni lat tysiącami... ona cierpiała i umysł jej się błakał, gdy spojrzała na tego starca skurzonego na ziemi, który czarne oczy iskrzące topił w niej badająco...

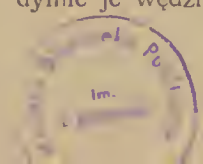
— Oni ciebie ubiją — rzekł po chwili — ja widział nieraz chowane niedźwiedzie i wilki... dopóki to młode i koziołki wywraca... to ich bawi, a potem w łeb i na gałęź... Tak i z nami...

Lenora coraz boleśniej cierpiała, męczarnia ta malowała się na jej twarzy; siostra Felicja, litością zdjeta, spojrzała zna z łico na cygana. Ale ten jakby nie rozumiał... iść mu się precz nie chciało od dziecka.. patrzył na nie i napatrzeć się nie mógł.

— Jabym ją i wśród tysiąca poznał — mruzczał — choćby ją nie wiem jak przebrali. Marana taka była za młodu... i taka i inna, ale nie wybielili jej tak w zamkniętej izbie... Te same oczy, te same usta... tylko śmielszy wzrok i krzyk. Ciebie nauczyli trwożno patrzeć i połowę bólu chować w sobie... Tamtę zabili lotry! Zabili... Jak się mścić nie mam. Ojca... powiesili... żonę zatłukli... dziad z ran umarł... brat zasieczony... a ja! i mnie to czeka... i ją.

Siostra błagająco spojrzała...

— My dzieci nie piecimy — z pogardą odparł cygan — matka w dymie je wędzi i w śniegu kąpie,



ojciec ćwiczy... aby się nauczyły cierpieć... U was sztuka wypieścić, aby potem muchy ukąszenie bolało jak rana! Albo to wy znacie co życie?

Począł głową kiwać i mruczeć już coraz niewyraźniej.

— Mój ojcie — odezwała się Lenora — jeśli wy mnie cokolwiek kochacie, cośbyście dla mnie zrobić powinni.

— Czy ja was kocham? Zara! Albo to ja wiem, czy ja kocham was? A za co bym ja cię kochał? żeś przyłgnęła do tych, co nas smutają? Mnie miło popatrzeć na twarzyczkę twoją i Małanę przypomnieć!

— Nie, nie! — dodał — nie gniewaj się, dziecko, stary się broni, żeby nie kochał, ale kocha!... A miłowałbyś sto razy tyle, żebyś zrzuciła do ostatniego łachmusa i poszła z nim...

Lenora przesłona spojrziała na niego.

— Nie! nie! — rzekł — to już zapóźno! chyba cię było im z rąk wyrwać, kiedyś była mała — teraz... darmo!

— Jeżeli wy mnie cokolwiek kochacie dla matki... porzućcie tę włóczęgę... bądźcie przy mnie.

Cygan począł się rzucać, śmiejąc się i na oba przechylając łoki.

— Daj ty mi pokój — cicho! co ci w głowie... ptyk w klatkę pędzić, żeby prędzej zdechł? Wolę polować na małą, a swobodny... Nie, nie...

— Zostań ze mną...

Dzęga głowę trząst.

— Nie, nie!... Przyjdę może; ale się! nie! nie!  
Ani ty mnie, ani ja ciebie nie rozumiem... Ty myślisz: dziki zwierz, ja myślę: wyszła dusza... Nie, nie—ty pociasz niedołężną, ja ciebie żałuję, mnie na uwięzi nie strasz...

Wetchnął... począł myśleć, podniósł głowę powoli i mówił cicho.

— Wejść do miasta, jak w kocioł wrzątku... ludzie kiną... latają, oszukują się, okłamują, a jeden czatuje na drugiego, jak w górach. Tylko tam coś gada do duszy od gór, od chmur, od strumieni, od skał, a ja tu nic nie rozumiem... Jak się wluçam w borowy szum... długo, zdaje się moim mówić jakby mi... mój brat... jak po deszczu z iglic polecą polki z kamieniami... a poczną druzgotać drzewa i wywracać chaty... aż się serce raduje... a tu? ja i mowy nie chwytam. Obwinięta w złote powijacze, kości nie widać...

— Aleby ci spocząć czas, ojcze — odparła Lenora — i byłbyś przy mnie i ze mną, i odłaskniłbyś się za górami, a nawykł tu.

— Oj! nigdy! nigdy! — rzekł cygan — mnie tu pęcze...

I jakby się złął, żeby go tu nie zatrzymano gwałtem, potoczył wzrokiem, zerwał się z podłogi, kij wziął, sierrę na karkułę zarzucił.

— Czas iść! — rzekł — idę, a ty...

mną nie chcesz, ja z tobą nie mogę... bywajże zdrowa, dziecińco!

— Nie — stanowczo, wyciągając ręce ku niemu, zawołała Lenora — nie, ja ciebie nie puszcze, musimy mówić jeszcze... kto wie, co wielki Duch natchnie...

Cygan ruszył ramionami.

— On się nie przebłaga, to darmo... on białe dzieci lubi.

— Przyjdziecie? — natarczywie podchwyciła Lenora.

Stary się zawahał.

— Przyjdę — rzekł — ale mnie tu długo żyć duszno... — Głową skinął i powoli tym samym krokiem, jak wszedł, powlókł się napowrót do drzwi. Lenora jak przykuta pozostała na łożu, płacząc razem z siostrą Felicyą.

Cicho powtarzała tylko jakby sama do siebie — ojciec! ojciec!

Po jakimś czasie otarła oczy i z wolna zapra gnęła wstać z łóżka, nie mogąc wytrwać w nieruchomości. Widać było, że ją myśl jakaś gniotła i miotła nią, że z nią walczyła napróżno. Siostra namawiała do spoczynku i skłonić doń nie mogła. Było coś chorobliwej gorączki w tym ruchu gwałtownym a zdrajcąjącym chwilowo bezsilność.

Po godzinnem prawie bieganiu po pokoju, Lenora uklękła się modlić — zanurzyła twarz w dłoniach i pozostała tak długo, ukorzona, płacząca znów. Sio-

strze Felicji nie pozostawało nic, oprócz troskliwego nadzoru nad znąkaną...

Gdy wstała, była uśmiechniętą już i spokojniejszą...

— Prawda, siostrzyczko — rzekła łagodnie — że dzieci mają względem rodziców obowiązki, równie jak rodzice dla dzieci?... prawda, że poświęcenie dla nich przede wszystkim iść musi przed szczęściem, spokojem... i osobistymi marzeniami nadziei?... prawda, siostrzyczko moja, że...

Zamilkła nagle, jakby się złękła, ażeby jej nie odgadnięto... zamyśliła się, zapłonęła, pocałowała Felicję i spytała znów po chwili:

— Wszak ja już jestem zdrową i silną?...

— Jesteś, kochana Lenoro, na drodze do wyzdrowienia i z pomocą Bożą siły odzyskasz, ale dziś jeszcze należy się szanować, nie poruszać zbyt mocno ani sercem, ani ciałem... i czekać łaski Bożej...

— Nie poruszać! — zawołała zadumana — a! jak ta rada serdeczna brzmi dziwnie, siostrzyczko moja; nie poruszać się ciałem, to zależy od człowieka — ale sercem?... jestże to w mocy ludzkiej?

— Potroże — odpowiedziała siostra łagodnie — modlitwa daje ducha spokój...

— Módlmy się więc, siostrzo moja — rzekła Lenora — moja prośba nie wzleci pewnie ku niebu... ale twoja na skrzydłach zasług i świętości dojdzie tam pewniej; wesprzej mnie...

Uściskały się ze łzami...

Noc potem spędziła chora we śnie, przerywanym jeszcze przypomnieniami modlitwy. Nazajutrz pragnienie zdrowia dodało jej siły... wstała rzeświejszą, prawie weselszą a około południa tak krążyła chciwie przy fortepianie swym, iż uzyskała pozwolenie doktora zagrania na nim trochę. W tęsknych jakichś tonach, jakby wspomnieniach śpiewów ludowych... rozlała się dusza spragniona, ze łzami na oczach grała i zakończyła płaczem.

Siostra Felicya znajdowała, że ta gra zbyt mocno na nerwy działała, zamknęła fortepian i schowała klucz. Co kieżeni. Lenora była posłuszna, poszła na łóżko z „Naśladowaniem Chrystusa,” po godzinie wstała do ręcznej roboty, a ku wieczorowi polepszenie zdrowia było widocznem. Z choroby została tylko jakaś gwałtowna żywość i niepokój...

Z polepszenia, o którym się u drzwi od Kasi dowiedział, skorzystał zaraz Zbigniew, który czatował dawno, domagając się, aby go wpuszczono, i wszedł nie miał a trwożny. Zdala go zobaczywszy, Lenora podała mu rączką z uśmiechem.

— Widzisz, mój dobry panie Zbigniewie, że jestem więcej niż konwalescentką, bo prawie zupełnie zdrową—zawołała—to siostra Felicya tylko utyzymuje, iż jeszcze mi coś brak... ale ja się czuję zupełnie dobrze...

I wstała, chwycając się nieco na nogach.



— No, mów pan, co się z wami dzieje! czy posłuchałeś doktora? czy i nadal ucząłeś studia?

— Ja? — spytał Zbigniew — ale miałem ja cokolwiek bądź rozpoczynać, o czemkolwiek myśleć, widząc panią cierpiącą i chorą?...

Lenora spojrzała nań z rezygnacją i powiedziała, aż do poltowania zbliżonem.

— Panie Zbigniewie — rzekła — rozumian twoje dobre serce... ale masz inne i daleko większe a świętsze niż względem mnie obowiązki. Ja dla was jestem cieniem siostry przybranej, a matka!

— Pani — zawołał Zbigniew — pani dla mnie jesteś nie cieniem siostry, ale ideałem i brą, którą prześladowanej i piękności.

— Ideałem! — powtórzyła smutnie Lenora — a chany panie Zbigniewie, ja już jestem na tym życia szczeblu, z którego idealu nie widać. Są słabe ziemskie istoty... stąpające omackiem z mniej więcej dobrą wolą... Nie marz pan o idealach... myśl o rzeczywistości,...

— Możnaż nią wyczuć? — spytał cicho, zbliżając się, Zbigniew — powiedz pani sama, byłoby życie możliwem bez promieni idealu? Kto się może napaść do syta rzeczywistością i położyć spać... nie jest jeszcze człowiekiem. Iskierka Boża zdmadza się w czci czegoś większego, niżeli świat dać może...

— Ale nie trzeba tej iskry oblekać w znikome •

cinło — odparła surowo Lenora. — Upokarzasz mnie, strojąc w tę szatę, której ja jestem niewarta...

I rozplakała się cicho.

— A potem — dodała, podnosząc nieco głos — ideał wcieliwszy w człowieka, kiedy się złudzenie rozprysnie, traci się wiarę w ideały same. Dlatego trzeba je zostawić na gwiazdach...

Zbigniew stał milczący, słuchał a patrzył, i dosyć mu było. Z tych ust odebrać chłosty jeszcze się szczęściem zdawało rozgorzalemu chłopcu...

Nagle wstała z łoża Lenora...

— Czy prędko będzie wiosna? — spytała — powiedz mi pan, czy prędko wiosna będzie?

— Jesteśmy wśród samej najsroźszej zimy — odparł Zbigniew — ale dlaczegoż pani mnie pytasz o to?

— Pragnę zieloności, wiosny, ciepła... jestem dziwaczką — odpowiedziała Lenora...

Zbigniew uważał ten zwrot rozmowy za umyślnie odcignięcie jej od pierwszego przedmiotu, a że bałwochwalczo pragnął zastosować się do woli swej pani, milczał, nie wiedząc co mówić.

Siostra Felicya, świadek tej rozmowy, siedziała w kątku z książką, niekiedy ciekawie spoglądając to na chłopaka, którego cała postawa wyrażała uszanowanie i cześć, to na Lenorę, której twarz uśmiechała się współczuciem czystym, siostrzanem.

Zbigniew począł potem opowiadać o ogólnem

usposobieniu umysłów, o życiu ogólnem, o rozkwitających nadziejach.. Rozmowa zwróciła się z tego na prześladowania Lenory i głos opinii publicznej w tej sprawie... Ile razy Zbigniew czuła ją i więcej osobistą chciał uczynić, Lenora, przeczuwając ten kierunek, wprowadzała go znów na obojętniejsze jakieś opowiadanie...

Gdy się nieco późno zrobiło... nieuspokojony wcale, nienasycony... młody chłopak musiał wreszcie odejść, chociaż i widzenie ideału i posłuchanie dźwięku jego głosu już dlań było szczęściem wielkiem; Lenora odprowadziła go do drzwi z życzliwością i uśmiechem weselszym, niż było usposobienie jej duszy — dała mu dobranoc, kazała się kłaniać matce i powróciła do siostry Felicji zamyślona. Już miały po klasztornemu i wedle obyczajów szpitala zacząć modlitwy wieczorne, gdy pani Laura, dla której wieczór świata wielkiego dopiero się rozpoczynał, wpadła wystrojona i pachnąca, jadąc na jakiś raut, aby swą protegowaną po drodze uściskać. Widząc Lenorę ubraną, stojącą przy łóżku, uderzyła w dłonie i głośno zawołała:

— A! to ślicznie, Lencia zdrowa!... a jak tylko wyzdrowieje tak, że doktor pozwoli wychodzić... daję wieczór. Lord się o to doprasza, walczy przyjaciele znajomi i nieznajomi błagają... Lenora będzie miała sukces... kolosalny!!

— Dioga pani — całując ją w ramię, odpowie-

dla żyrafa — twoje dobre serce może go dla mnie  
 uwolnić od tej teatralnej exhibicyi nieszczęśliwej  
 ofiary prześladowania. Żebrać współczucia, oklaływać,  
 obchodzić tryumfy... a! daruj, nie potrafię.

Laura ruszyła ramionami.

— No, no! o tem później, jeszcze nie poru-  
 szone... apłuję do uspokojonych, ale się nie wyrze-  
 kam.. Ciekawość powszechna podbudzona... nie ly-  
 chanie... każdy widzieć cię, mówić, zbliżyć się pragnie...

— Pani droga! jak niegdyś pierwszą żyrafę —  
 dała Lenora — tacy są ludzie! Pierwszy lepszy Rap-  
 po lub Patiana lepiej odemnie zaspokoiliby tę cie-  
 kawość.

— No, więc nie mówmy o tem. Przybyłam  
 tylko mój kochanego kotka pocałować, zobaczyć co  
 się dzieje, uścisnąć dobrą siostrę Felicyę.. spytać czy  
 czego nie potrzeba... oddać ukłony i życzenia  
 od Lorda (między nawianami wszyscy ci go za-  
 dzroszczą) i... uciekam...

Na wspomnienie Lorda zarumieniła się Lenora,  
 a pani Laura to postrzegła natychmiast i zanotowała  
 pocichu — ale nie dała poznać po sobie.

Pożegnaly się. Przyjaźniła się do powozu,  
 zaintrygowała tym rumieńcem i zamyślną dziwnie.

— Że mu się mogła podobieć! — myślała — to nic  
 dziwnego, komu potrafi głowę zawrócić, nie wiele  
 jest kobiet podobnych... ale z tego nic być nie może!

Lord się z nią przecie nie ożeni... chyba morgantycznie; cóżby powiedziała rodzina, spokrewniona z tyłu królami! Ona ani żoną morgantyczną, ani kochanką jego nie będzie, nadto jest dumną... a zdaje się, że Lord głowę stracił i ona serce stracić gotowa... Pomagać do tego nie godzi się... biednej dziewczyny spokój i przyszłość zawisły od jej znalezienia się... Już i tak gadają...

Ach! i ten blady kochanek w niewatowanym paltocie, który sypiał pod jej drzwiami... biedaczysko! Szczęście, że się zaczyna uczyć medycyny... mówią, że to miłosne zapaly ostudza...

Pani Laura, zanadto już długo poświęciwszy się jednemu przedmiotowi, w tej chwili myślą wybiegła w inną stronę i zapomniała o Lenorze, Lordzie, Zbi-gniewie... i niedawnych odwiedzinach. Nieszczęśliwa istota! tyle miała na tej biednej głowie!!

**Z**ima zbliżała się ku końcowi. Lenora przychodziła do zdrowia. Siostra Felicya powróciła do klasztoru... pani Laura usiłowała napróżno wciągnąć protegowaną w świat wielki... Wszystkie jej namowy, prośby, gniewy nawet, rozbiły się o wolę niezłomną sieroty, która stanowczo oświadczyła, że znajomości swe chce w małym bardzo kółku ograniczyć. Nie dawać i nie dziczyć się bezpotrzebnie — bywała wprawdzie u pani Laury, ale nie inaczej, jak otrzymawszy od niej najuroczyście zapewnienie, iż nikt przyjętym nie będzie nad tych, na których się obie wprzedy zgodziły.

Zupełnie liczba tych wybranych bardzo była ograniczoną; należeli do niej czcigodny doktor, prawe obywatelstwa mający od niedawna Zbigniew, który się nawet o frak czarny postarał... a niekiedy tak zwany Lord... dopraszający się zbyt natrętnie tego szczęścia, zbyt poważnie i na pozór chłodno, aby mu

w obawie następstw jakichś pani Laura wzbronić go mogła. Co się tyczy Lenory, ta nie mówiła nic przeciw, ale w zachowaniu się swem z nim była coraz zimniejszą i stosunek ten trzymała z wielkim taktem prawie na tym stopniu, na jakim pierwszego stanął wieczoru. Lord zrozumiał ją dość dobrze, bo posłanował wolę jej i poufalszego zbliżenia nie zdawał się żądać. Resztę czasu spędzała Lenora u siebie w domu, w kościele, na przechadzce, doskonalić się w muzyce, czytając wiele, myśląc więcej jeszcze.

Kasia tylko, która po kwartale pożegnawszy państwo Melchiorów, przeszła w usługi pokochanej swej pani, dziwiła się nadzwyczajnie i gorszyła tem niemało, iż osoba tak przyzwoita, tak wielkiego świata (jak jej się zdawało niebodem), mogła niemal co kilka dni przyjmować u siebie odartego, brudnego, dzikiego cygana... który całemi godzinami siedział u niej na ziemi, i albo słuchał grającej, albo coś mruczał lub cierpliwie dopytywał się o coś mówić i czytać.

Pożyciwa Kasia, szanując tę tajemnicę swej pani, o której nigdy nikomu ani wspomnieć nie śmiała, raz pytała jej, co znaczył ten cygan... przerażający ją... a nie przypuszczała, aby on mógł być jakimś takim pięknej, tak rozumnej, tak — jak ona mówiła, delikatnej. Słyszała o tem o Lenory, która się nie wypierała wcale tego, ale widać to że i ona rozumiała fikcję jakąś, nie dającą się rozumem gawiedzianej wytłumaczyć.

— Jak to może być jej ojciec?—mówiła sobie— rychtyk jakby ktoś powiedział na mnie, że ja hrabianka; ktoby temu uwierzył?

Pomimo kilkakrotnych pożegnań Dżęgi, który się ciągle w świat wybierał, Lenora cudem jakimś wstrzymać go potrafiła. Z troskliwością macierzyńską chodziła około tej duszy zdziczałej, najeżonej niezrozumiałemi przesady i tradycjami dziwnymi... milkła, gdy stary zapuścił się w swe szale i przekleństwa, słuchała go cierpliwie, potem zwolna zwracała rozmowę i wciskała w nią jakąś inną myśl, jakieś pojęcie łagodniejsze, promienistsze, aby z nim starca oswoić. Dżęga nie rozumiał, ilekroć przyszło mówić o człowieku, jakim go nasze społeczeństwo Chrystusową myślą, niedołącznie, ale na wzór wielkiego prototypu stworzyło; słuchał, śmiał się, szydził... wszakże Lenora spodziewała się zawsze, że jakiś prawdy odłamek utkwi w nim, jakieś ziarnko padnie w duszy zakątek i wyrośnie...

Po życiu spędzonym na włóczędze i walce z całym światem, sprzysiężonym przeciwko sobie, cygan pojąć nie mógł obowiązku i możliwości pojednania... Wreszcie wędrowne życie stało się dlań nałogiem, potrzebą, niebezpieczeństwo upajającym wyskokiem, bez którego się obejść nie mógł... niecierpliwił się spętany niewolą i beczynnością. A jednak córka zatrzymać go potrafiła. Sam on dziwił się temu. Dniem włóczył się na końskie targi, ku Pradze, mieszał się



w tłum, szukał swoich i czasem ich znajdował, siedział w szynkach, słuchając gwaru ciżby i lubując w bitwie karczemnej, a wieczorem zachodził do swej Zary, siadał na podłodze i kazał sobie grać lub wyzywał do mówienia.

Bolesna to była rozmowa, bo ją Dżęga przerywał niekiedy tak cynicznymi uwagami, że lice dziecięcia płonęło. Nie raz, ale niemal co dzień jej powtarzał:

— Co to ty żyjesz jak mniszka? czemu ty chłopców nie bala nucisz i nie obdzierasz! Toż to twoje lata, miałybyś od nich, cobyś chciała... bo ładne liczko nie na to ci dała matka, żebyś je zakrywała?... Co ty masz ich żałować!...—I śmiał się stary... a Lenora spuszczała twarz zaplonioną.

Trudno nawet było od najpospolitszych rzeczy zwrócić Dżęgę do poważniejszej jakiej mowy... Gdy córki, powołał usiłującej go uczyć, słuchał, ziewał, i w końcu czuć było, że myśl uciekała gdzieindziej... a po chwili rwał się wychodzić. Napróżno szukała tej szpary, którąby do jaskini promień słoneczny mógł się wcisnąć. Po wyjściu Dżęgi klękała modlić się i płakać. Ten wysiłek miłości dziecinnej nużył ją, bezskuteczność jego przyprowadzała do rozpacz... ale wytrwać było potrzeba. Cudem niemal nazwać się mogło to, że potrafiła od dnia do dnia najrozmaitszemi prośby, namowami, pochlebstwy, datkami starego przy sobie powstrzymać. Być może, iż zima

ostra po części się też do tego przyczyniła; być może, iż porobione w Warszawie znajomości także na to wpływały—dosyć, że Dżęga dotrwał do końca kwietnia. Ale gdy liście poczęły się pokazywać na drzewach, powietrze ocieplało... skowronek zaśpiewał, niebo pojaśniało... lody przeleciały i reszty śniegu stopniały, cygan już za kij pochwycił i począł rwać się do drogi...

O stosunku córki do ojca, o jego częstych odwiedzinach, oprócz Kasi, nikt prawie nie wiedział. Chociaż Lenora nie byłaby się taila z niemi, wypadek więcej niż rachuba sprawił, iż nigdy nikt nie nadszedł na to, gdy Dżęga poufale na posadzce siadłszy, podparty gawędził z córką, śmiał się z niej, półuchem słuchał, swoje prawil i godziny całe spędzał, ucząc ją cygańskich pieśni, które nucił półgłosem, a ona mu potem grała je ułożone rlisternie.

Dżęga lubił muzykę tę i nią kupić sobie mogła Lenora trochę uwagi, laskawsze ucho, gdy potem powoli, z niewyczerpaną cierpliwością, nawracać go poczęła...

Jednego wieczoru Kasia postrzegła swą panią niepokojną wielce... modliła się długo ze łzami, siadała potem pisać, rozkazawszy jej iść spać... co dziewczę spełniło z ochotą... Nie wiedziała nawet, kiedy pani świecę zgasiła... ale gdy rano obudziła się, spiesząc do zwykłych zatrudnień, przestraszył ją nadzwyczajny ogarnął — pani nie było w pokoju... Dwa

listy leżały tylko na stoliku. Kasia umiała czytać, wysylabizowała adres jeden do doktora, drugi do Laurry, i przerażona, zapłakana, poleciała z niemi...

Doktór, odczytawszy list, załamał ręce, stał zadumany, poszedł natychmiast do mieszkania Lenory, aby je wziąć w opiekę, ale Kasia się nic od niego dowiedzieć nie mogła. Gwałtowniejszy skutek wywarło drugie pismo do pani Laurry, która płacząc i lamentując, biegła z niem po całym domu... I tu wszakże pocziwa sługa napróżno o kochaną panią pytała, nie odpowiedziano jej nic. Doktór kazał wprawdzie do pewnego czasu pozostać przy mieszkaniu i rzeczach dla dozoru, ale na nalegania dziewczyny, kiedy jej pani powróci, dlaczego tak ukradkiem wyrwała się z Warszawy, nic odpowiadać nie chciał...

W parę dni dopiero po tem zagadkowem zniknięciu Lenory, które jej przyjaciele trzymali w najgłębszej tajemnicy, nadszedł nieszczęśliwy Zbigniew... Sługa miała sobie za obowiązek nie wyjawiać nic przed nim; powiedziała mu, że pani wyjechała i że się chyba od doktora dowie coś więcej. Poleciał Zbigniew do niego, ale na pierwsze, naglące pytanie odebrał tylko suchą odpowiedź, że panna Lenora dla pilnych interesów opuściła Warszawę. Chłopak znał nadto dobrze jej położenie, interesa, myśli, aby go takim ogólnikiem zbyć można. Zdziwiło go to, że wyjazd dla niego był tajemnicą. Wiedział o ojcu,

domyślał się dawno i dobadał, że Lenora czuła się w obowiązku wyrwać go z zatracenia; mimowolnie wbił więc sobie w głowę, że gotowa była pójść za niepoprawnym włóczęgą, aby go bronić od jego własnych zachceń i powolnie na inną starać się wyjść drogę.

Ta myśl utkwiała w nim, pozbyć się jej nie mógł; przeraziła go ona przypuszczeniem wszelkich niebezpieczeństw, na jakie Lenora narażoną być mogła... oszalał... W tej chwili obowiązki względem matki, rozpoczęta nauka, niepewność i nieświadomość zupełna miejsca pobytu Lenory, znikły mu z oczów, serce mu biło natarczywą jedną myślą: Iść za nią, bronić jej! ratować!

Z załamanemi rękami, blady, zbliżył się błagając do doktora, przypadając prawie przed nim na kolana.

— Dobroczyńco mój — zawołał — wiem, że opuszczając Warszawę, pisała do ciebie, zaklinam cię, proszę, powiedz mi, gdzie ona jest! Jeśli jej grozi najmniejsze niebezpieczeństwo, jeśli ja mogę się przydać na cokolwiek pozwól mi... spełnić najświętszy z obowiązków...

— Ale ja panu powiadam najuroczyściej, że nie wiem, gdzie jest panna Lenora — rzekł doktor...

— Przecież się ona wytłumaczyła przed panem, w którym miała zaufanie, z tego odjazdu tak nagłego!

— Wy tłumaczyła! nie! — odparł doktor — to krok, który się nie daje niczem wytłumaczyć, prócz nadto dobrego serca, a bardzo obalamuconej głowy jakąś dziwną egzaltacją!

— Ona poszła za ojcem!!

Doktor spojrział na niego bacznie i zamilkł.

— Widzisz pan — odparł Zbigniew — że ja potrafiłem odgadnąć jej bohaterstwo! jestem pewien, że przyczynę tę przeczuł, zrozumiał... Nic mi nie pozostaje, tylko iść za nią!

— Dokądże? dokąd? — zapytał doktor, ruszając ramionami.

— Albo ja wiem! dokądkolwiek bądź! szukać jej...

— Wiatru w polu! — przerwał stary — to się nie zdało na nic! Matkę wacpan opuścisz, naukę przzerwiesz, ucierpisz, zmęczysz się i nic nie zrobisz...

— Matce oddam co mam... polecę ją... uspokoję, naukę muszę odłożyć... a ratować ją powinienem i tego dopełnię.

— Kochany panie Zbigniewie, jest to na pozór heroizm, ale wistocie bałamuctwo... Młody, oszalałeś za tą dziewczyną, i nie uczucie obowiązku, ale cię miłość prowadzi...

Zbigniew się zarumienił cały.

— Panie — zawołał gorąco, uderzając się w pierś — ja sam nigdy myśli tej przed sobą wypowiedzieć nie śmiałem! Byłoby zuchwalstwem, abym ja...

ja, biedny, ubogi, niegodzien patrzeć na nią, śmiał inaczej kochać tę istotę.. tylko jak promienie bóstwo...

— Jeśli ona poświęcić się chciała dla ojca, o czym nie wątpię — to ja obowiązany jestem wszystko rzucić dla niej i lecieć na ratunek... Ona była dla mnie opiekunką, nauczycielką, przewodniczką, wszystkim... byłbym niewdzięcznym, gdybym tu pozostał spokojnie... Pójdę...

Stary doktor popatrzył nań, poszedł do szuflady biurka, dobył z niego list i milcząc, dał mu go do czytania.

Pismo było następującej treści:

„Szanowny panie, ty, coś mi dał tyle dowodów swej przyjaźni, nie potępiaj mnie za krok, który świat nazwie dziwactwem, jeśli weń uwierzy, lub szukać w nim będzie innych pobudek nad te, co mnie do niego skłoniły. Na ziemi całej mam tylko jednego — ojca, nieszczęśliwego tulacza, którego niedola długa zwichnęła; jestem obowiązana wszystko dlań poświęcić. Idę z nim, za nim, dopóki go skłonić nie potrafię do odmiany życia i nie pociągnę za sobą tak, jak dziś on mnie ciągnie uczuciem obowiązku. Czyż wiem jak, kiedy, a nawet czy powrócę? Weź w opiekę mienie moje i racz je zachować, a jeśliby mi przeznaczonem było — nie zobaczyć was więcej, nie wrócić nigdy, rozporządź tem, co znajdziesz, na rzecz sierot i ubogich, takim losem, jak ja

dotkniętych. W tym podziale nie zapomnisz pocziwego Zbigniewa i jego matki. Z uczuciem ściskam zaciśniętą dłoń twoją — w Bożych rękach losy nasze — przyszłość ciemna, a co każe sumienie. bądź co bądź, spełnić potrzeba. Żegnaj mi, zacny panie“...

Zbigniew odczytał list cały żywo, szybko, a przekonawszy się, że go nie omyliło przecucie, obawiając się, aby doktor nie odwołał go od postanowienia, które powziął (gonić za Lenorą) — położył tylko pismo drżącą ręką na stole i skłonił się wzruszony, chcąc odchodzić.

— Czekaj pan — zawolał doktor — cóż myślisz? bądź otwartym, naradźmy się.

— Dziś, natychmiast puszczam się w pogoń...

— Nie tak jestem temu przeciwny, jak może sądzisz — rzekł doktor — nie namawiam, bo czuję, że to nie twoja rzecz... Gdyby kto inny... nie mówię. Ale jeśli się już uparł, to powiedz przynajmniej, co myślisz robić? Gonić! nie sztuka wybiedz w świat; ależ potrzeba planu, trzeba śladów jakichś... wskazówek...

— Pan mnie nie uznajesz do tego zdolnym? — zapytał Zbigniew.

— Właśnie dlatego, że przedsięwzięjesz z poręczką, co należy czynić z rozwagą chłodną...

Zbigniowi oczy zabłyśły żywiej niż zwykle, uderzył się w pierś.

— Znajdę środki... odszukam ślady... wierz mi pan...

Chciał już odejść.

— Czekaj jeszcze — przerwał doktor — nie masz grosza przy duszy, matki bez zapasu zostawić nie podobna... pożyczę ci ile potrzeba.

Młody chłopak się zarumienił, ale na ten raz, jako pożyczkę, musiał przyjąć ofiarowaną pomoc, która mu przychodziła jak przez Opatrzność zesłana... Doktor wcisnął w rękę papiery dobyte żywo z pugilaresu, a w chwilę potem Zbigniew już biegł ulicą ku Dziekance.

Matce nie sposób było się przyznać do zamierzonej pogoni, musiał ją przed nią utaić; powiedział, że go wysyła doktor za swoim interesem, zostawił część pieniędzy, odebrał paszport i mimo spóźnionej pory, byłby tego samego dnia wyruszył, gdyby miał jakiegokolwiek wyobrażenie o tem, dokąd mu jechać należało. Toż samo przeczucie, które mówiło, iż Lenora poszła za ojcem, wskazywało mu Karpaty, jako okolicę, w której najprędzej Dżęga się mógł schronić i córkę za sobą pociągnąć. Wieczór jednak poświęcił wywiadywaniu się dość trudnemu i poszukiwaniu śladów cygana. Pomógł mu do tego towarzysz niegdyś szkolny, zajmujący teraz jakąś maleńką posadę w ratuszu i lepiej nad niego obeznany z ruchem ludności i stosunkami Warszawy.

Przez niego mógł się Zbigniew dowiedzieć o cy-



ganie jakimś na Pradze, zastępującym miejsce uczonego weterynarza, o którym nie wątpił, że z Dżegą w czasie jego pobytu w Warszawie musiał być znajomy. Cygan, acz przebywający prawie ciągle i kręcący się około końskich targów i tu wiódł życie koczujące... Nie miał on stałej siedziby, nocowywał po szynkach, we dnie się włóczył, widywano go czasem codziennie w jednym miejscu, potem tygodniami znikał. Na ten raz znalazł się wszakże, zajęty bardzo jakimiś podejrzanemi naradami ze starozakonnymi faktorami i handlarzami koni. Był to słynny podrabiacz zębów, odmładzający szkapy cudownie i z bezrejestrowych, starych koni umiejący tworzyć sześciolateknie rumaki.

Mały, gruby, czarny cygan Hurda palił fajeczkę węgierską i wzięwszy się w boki, szeptał to jednemu, to drugiemu izraelicie coś do ucha, przymrużając naprzemian oczy, gdy Zbigniew go odciągnął na bok, naprzód ułagodził go miodem, co obudziło w cyganie podejrzenie, potem przystąpił do rzeczy i zapytał, czy znał Dżegę?... Hurda mierzył go nieufnemi oczyma, fajkę cmokał, odpowiadać nie chciał, mruczał, ale gdy się chłopak wygadał, że mu nie o cygana, ale o córkę jego chodziło, upewniwszy się, że to sprawa kobieca, przyznał się, że Dżegę widywał.

Długo się potrzeba było targować, nim cygan zdradził cygana za ów nieszczęsny biały grosz Judaszowski, co tak ludzkie psuje serca. Schowawszy do

kalety podarek, Hurda napomknął, iż najpewniej udać się musiał ku Galicyi i Węrom, bo on tam szczególnie przebywać nawykł i znał dobrze oba Tatrów stoki... dowodząc garstką cyganów, włóczących się po jednej i drugiej stronie naprzemiany. Radził więc Zbigniewowi udać się do Krakowa, a zamtąd najbliższą drogą ku Tatrom, dopytując po gospodach, w których Lenora nie mogła przejść niepostrzeżona, acz — jak domyślał się Hurda, mrugając oczyma — przebrać się pewnie musiała, idąc za ojcem...

Wskazówka niewielkiej była wartości, cygan dawszy ją, uśmiechał się i siedział, jak gdyby jeszcze co miał na sprzedaż... Wyciągnął jeszcze białego, jak zwał rubla, z kieszeni Zbigniewa, i dopiero wypiwszy miód, przyznał się szczerze, że Dżęgę idącego z córką widział na Pradze...

— Hej! ładna to cyranka! — śmiejąc się, dołączył — ja bym się sam z nią ożenił... ja jej to mówiłem, ale harda, ani przystępu... a tobie, paniczku, cyga że głowa świerzbi na karku... inaczej za nim bym nie życzył... cygany jej nie puszcza, kiedy cię odebrał ją, musi pójść za naszego chłopca... i wy jej już mieć nie będziecie...

Wzdrygnął się na tę myśl Zbigniew i nic nie odpowiedziawszy, wstał z za stołu. Którędy po — nie chciał, czy nie umiał mu powiedzieć Hurda, zapewniał tylko, iż konia i wóz kupić mieli i że Dżęga

stary cyganicę wziął do posługi i twardej roboty, aby córki nie męczyły.

Klapnął go po ramieniu napity cygan na odchodem, popatrzył w oczy i dodał:

— Darmo, panieńku, buty zedrzecie, ja wam mówię, darmo... stary Dżęga mądrzejszy od was... Albo on ją swojemu zaślubi, albo... na Węgry zawiezie i jakiemu grafowi sprzeda, wszak to jego krew... A co jej złego będzie, jak bogaty pan weźmie na zamek i ojcu dobrze za nią zapłaci? — Machnął ręką — Żebym ja taką córkę miał, dalipanbym nie co zrobił innego... Dla cygana to już za delikatne, bo jakby raz i drugi kijem wyłomotał, toby kości połamał; dziecku na plecach nie dźwignie, zimna nie zniesie. zdługo mięsa nie będzie jeść.. a to u nas wszystko się trafia...

Jeżeli masz dużo, dużo pieniędzy... to jeszcze... a jak mało co... to ty jej nie dostaniesz... darmo się nie puszczaj... Ojciec chytry! ja go znam, on raz mając taką lalkę, za lada co nie odda... a ona mu się nie wyprosi, ani wy nie wymodlicie...

A! no — jak wola!!

**D**ojeżdżając ku Zakopanemu, gdy w pogodny dzień łańcuch gór oświetlony słońcem zachodu ukaże się przed oczyma podróżnego w całym swym majestacie, ze śnieżystymi głowami, z poszarpanymi bokami, z iglastymi szczytami, z czarnymi pasami lasów jodłowych, wyglądających jak podarta opadająca do stóp szata ciemna — mimowolnie uroczysty jakiś smutek duszę ogarnia... Im bliżej ku tej bliźnie po tysiącoletniej ranie zadanej ziemi — tem kraj staje się dzikszy, puściejszy, cichszy. Gdzieniedzie łoża strumienia zasiane kamieniami a wyschłe, i choć wyschłe groźne — rozdarta ziemia, którą sączy się górski potok, mogący webrać co chwila i rozlać na pola, po nad nim obnażone głazy, kupki jodeł, chaty ciemne... zagrody ubogie i gdzieniedzie z gromadki drzew ciemna kościółka wieżyczka wygląda. Czuć, że tu już ludzie dotarli do granicy mieszkalnej, że dalej po za wsie u podnóża Tatrów człowiek wdrapać się tylko może

na chwilę i chronić musi przed siłami, które tym światem władną, a których on nie zmoże. Dalej pustynne doliny, cisza... szumią bory, wiatr Shakespearowskie odgrywa dramaty, wody mruczą złowrogo... i ledwie postrzeżesz zwierzę... Świat czarów, nieza-  
władnięty przez człowieka, do którego się on wkrada i ucieka; tu leżą legendy, tu mieszka bajka, tu chronią się duchy... tu stare wygnane pieśni drzemią na gałęziach jodłowych...

A mimo tego smutku, który krainę obwiewa — jest ona cudownie piękna, swą wdowią żałobą po życiu, którego nie dopuszcza... kraina to pustelnicza, która chce być martwą... i musi być niegościnną, bo by nie była gniazdem natchnień, pieśni, snów i legend czarownych. Broni się ona oblężona przez człowieka — króluje jej tylko Bóg...

• U stóp jej wsie zdają się pokornie leżeć, jak u nóg królowej, i z przestraczem patrzeć na nią... Ztamtąd lecą burze, leją się wody, spadają skały... dziś świeci się gór onych sznur jak korale krasnych... jutro sino i żałobno na niebie szarzeje... i obwiałe go mgły i porwały chmury, utopił się w obłokach — znikł. Co tam się dzieje z temi szczyty, w tych dolinach, gdy się one zakryją przed oczyma człowieka, Bóg jeden wie. Czasem nie widać ich długo, aż jednego poranku ów calun porwą wichry, i wstają Tetry obmyte, jasne, wesołe... jakby z wędrówki do niebios wróciły.

W jednej z tych podtatrzańskich wiosek, które żyją nie z ziemi ostygłej, ale z przemysłu różnego i wędrowniej pracy, nad gościńcem, wijącym się obok wyschłego łożyska potoku, który powyrywał pokłady skał jakichś szarych, jakby ręką duchow w mur regularny poukładanych, stał na wzgóreczku drewniany kościółek, zbyt może na tę osadę obszerne, ale też kilku sąsiednim służący za parafię... Obok widać było plebanię z ogródkiem, a nad samą drogą, naprzeciw murowanej figury, w której wytlóbieniu stał posąg Zbawiciela, wznosił się wedle odwiecznego obyczaju szpital... dla dziadów i babek kościelnych. Odznaczał go wielki krzyż drewniany u drzwi, a w prawo i w lewo dwa przedwieczne także obrazy mocno wyblakłe... Na jednym z nich artysta wystawił Łazarza napół nagiego ze związaną głową, któremu rany psy litościwie lizały; na drugim świętego Rocha w pielgrzymkim stroju, u którego stóp coś nakształt nieposzczyka żółtego niegdyś musiało istnieć, teraz została tylko plama form nieoznaczonych. Szpital zresztą wyglądał wcale porządnie, miał przytykający doń ogródek warzywny i dzielił się sienią na przestrzał kwartą na dwie połowy: męską i żeńską.

Nigdy mu nie zbywało na mieścianach, bo gdy jeden dziad zmarł lub babka skończyła życie, natychmiast zjawiali się kandydaci do zajęcia posady, przez fundację któregoś z kolatorów domowych należycie uposażonej. Wiadomo było, że

tu czterem szczęśliwym wybranym działało się dobrze, mieli ordynaryę i ogród, chleb, a że przy kościółku bywały odpusty i w kruchcie zajmowali miejsca uprzywilejowane, roboty zaś koło kościoła i posługi było niewiele — trafiało się, iż po zmarłych szpital brał w spadku aż do kilku złotych...

Nieszczęściem, ten dobry był fatalnie wpływał na charakter mieszkańców szpitala, który dawny proboszcz przezwiał był *Gospodą utrapienia* — z powodu kłótni nicustannych i bijatyki nawet częściej pomiędzy babami i dziadami. Nie było dnia bez hałasu i swaru. Spory sądził organista, sądził proboszcz, czasem arendarz, a nigdy ich radykalnie odsądzić nie było podobna. Skończone wieczorem, odradzały się rano z nową gwałtownością i zawziętością wzrastającą. Wieś nawet brała udział w kłótniach, sympatyzując wedle usposobień z jednym lub z drugim stronnictwem. Proboszcz z tą *gospodą utrapienia* miał męczarnię nieustanną. Śmierć nawet nie mogła położyć tamy raz zaszczeponemu duchowi rozterki, kandydat nowy po kilku dniach, poświęconych obeznaniu się z położeniem, podejmował po nieboszczyku pozostały ślad.

W chwili, gdy nam zajrzeć wypada do *gospody utrapienia*, była ona zamieszкана przez liczbę zwykłą ubogich. Dwie baby i dwóch dziadów — Dominika i Basia składały armię amazonek; niepoczciwie przezwany Hycel i Strzemeczny — druga. Cała

ta ludność szpitalna, mimo nieudolności do pracy i różnych dolegliwości, z których się wylegitymować musiała dla przyjęcia, wyglądała wcale nieźle. Dominikowa podobna była do beczki otyłością, a do pieczonego jabłka cerą i kolorytem twarzy. Basia była chuda niezmiernie, skóra i kości, ale krzyczała za wszystkich, gdy w pasyę wpadła. W pasyę zaś wpadała kilka razy na dzień. Mężczyzna, zwany niefortunnie hyclem, a w przyzwoitszy sposób kulasem, chodził o jednej kuli, miał nogę skrzywioną, a mimo to zręczny był i zwinny niezmiernie. Strzemeczny, bodaj czy nie stary żołnierz, który latem i zimą chodził w kozuchu, milczał, nie odzywał się nigdy, ale przyparty do niecierpliwości, bił bez miłosierdzia.

Ze wszystkich on może był najlepszym i jemu też było poruczone moralne zwierzchnictwo nad tą rzecząpospolitą... dawał rady kulasowi, babom nigdy... Nienawidziły go, bały się, skarżyły nań bezustannie... i raz mu nawet jakichś grzybów nagotowały niezdrowych; ale Strzemeczny miał swoje sposoby, przechorował się i nie umarł. Od tej pory obudzał jeszcze większy szacunek w płci niewieściej. Miano go za człowieka, który coś zna — za czarownika.

Mieszkańcy wioski, przechodzący tego wieczoru przed szpitalem, mogli być wielce zdziwieni fenomenem tak niezwykłym, iżby mu zaledwie wiarę dać można. Przed progiem bowiem tej gospody utraipienia stali w jedną kupkę zbici, szepcząc coś po ci-



chu, wszyscy mieszkańcy jej... Dominikowa w chustce białej na głowie, Basia z fartuchem do twarzy podniesionym, kulas zażywający tabakę z różką, i nawet Strzemeczny z pochyloną jak do pilnego przysłuchiwania się głową.

Rozmowa toczyła się pocichu, tajemniczo...

— Jakby doktor był albo cyrulik — mówiła Basia — możeby jego jeszcze odchuchali... ale my jemu rady nie damy... Gdzie do Zakopanego po cyrulika! Księdza nie ma, pojechał do drugiej wsi z panem Bogiem... organista na łące... a choć my niejedno ziele znamy... ale zkad go tak prędko wziąć... On taki dojdzie... i tylko bieda z nieboszczykiem... pochowają...

— Jaby'm go była z gościńca nie brała do szpitala... — odparła Dominikowa — a co nam do tego!

— Ta! — rzekł kulas — a jakby się był ksiądz dowiedział... coby było!

— A coby miało być? toćby nie zjadł.

— I kto go wie, co to za jeden — paplała Basia... koszula na nim cienka... bawelniana... twarz biała... odzież miejska...

— Czy co gadał?

— Nie, ino jęczał... Pobity był strasznie... sińców a krwi więcej niż zdrowego ciała... a głowa-ć, miły Boże, jakby ją z mózdzierza wyjął...

— Nie chybi, to te cygany, co się tu włóczyły!

— A no, pewnieć nie kto.

— I musieli go odrzeć?

— Kulas patrzył przy nim, nawet kaletki nie znalazł...

— Coby mu teraz po kaletce, kiedy lada chwila Bogu ducha odda...

Rozirrowa, podsycana przedmiotem, dostarczającym obfitego materiału do uwag i domysłów, byłaby pewnie się przeciągnęła długo, gdyby na gościńcu wózek nie zaturkotał.

— Otoż nie chybi, Jegomość jedzie!

— On pewnie...

— Niechże Strzemeczny pójdzie mu odraportuje zaraz, żeby jeszcze biedy nie było — rzekła rozumna Basia — choćby go wydysponował na śmierć.

Milczący Strzemeczny nie lubił, ażeby mu coś radzono lub nakazywano; znajdował, że na własny użytek ma dosyć rozumu, na ten raz jednak zgodził się ze zdaniem Basi i pociągnął ku plebanii, przed którą wistocie wózek się zatrzymał.

Kulas, Dominikowa i Basia pozostali przed szpitalem w oczekiwaniu dalszych wypadków, gdy po krótkiej chwili ksiądz, złożywszy z siebie komżę i stulę, nadszedł niespokojny, prowadził go Strzemeczny już znów po swojemu milczący... Proboszcz był młody jeszcze człowiek, zdrow i silny, o energicznie wyrzeźbionej twarzy i, jak przystało na ojca duchownego górskiej okolicy, zahartowany; pominął kupkę

szpitalną, która go pozdrowiła, i co najprędzej wszedł do izby...

Tu na tapczanie, podesłanym słomą i narzuconym grubym prześcieradłem, leżał człowiek — czy trup człowieka, okrwawiony, potłuczony, bezwładny. Zbliżywszy się dopiero, dostrzedz było można, iż w pierś tej, okrytej poszarpaną jakby w gwałtownej walce odzieżą, biło jeszcze serce... Krew, w części już poprzysychana, okrywała ręce, skronie, broczyła suknie. Twarz była młoda, przystojna, ale znękana, blada i wycieńczona... Z sukni domyślać się należało, że nie-szczęśliwy ów, jeśli nie należał do wyjątkowych, jak je zowią, klas społeczeństwa, nie pochodził też i z ludu. Ręce miał nie zapracowane, pleć nie tak ogorzałą, rysy wyszlachetnione pracą ducha i spadkiem pokoleń może oderwanych od trudu bezmyślnego... Widać nie był to chłopak zamożny, ale musiał, jak teraz się to zowie, należeć do inteligencji. Proboszcz potrosze był lekarzem, a namiętnie oddawał się we wszystkich wypadkach obowiązkom miłosierdzia, miał więc pewną wprawę i doświadczenie. Nieraz potłuczonego przywieziono mu górala, lub po bójce nie-szczęśliwej jaką ofiarę karczemnego sporu... Kazał natychmiast przynieść ciepłej wody dla obmycia ran, posłał do plebanii po bandażę i szarpie, a sam, nie odchodząc już, z wolna badał znaki życia... Tymczasem kulus, który się przywłókł, opowiedział mu, że kobiety, które chodziły po grzyby, pierwsze postrzegły

zbroczone ciało i dały znać do szpitala; że oni czuli się w obowiązku pobiedz na niezbyt odległe miejsce, gdzie ono nad drogą w krzaki zaciągnięte leżało, że pobity człowiek ani słowa już odezwać się nie miał siły, gdy go znaleziono... i — na koniec, że widziano w okolicy włóczącą się bandę cyganów węgierskich, która wedle wszelkiego podobieństwa, musiała popełnić na nieznanym podróżnym morderstwo...

Proboszcz wysłuchał szczegółów z uwagą, pochwalił swoim podkomendnym ich gorliwość, a doczekawszy się wreszcie z plebanii przyborów i chłopaka, rozpoczął opatrywanie ran...

Wszystkie one pochodziły widocznie od tępych narzędzi, obuchów i kijów, parę tylko cięć zdawało się zadanych góralskim toporkiem... Głowa, ramiona, piersi, boki całe były w sińcach i krwawych stłuczeniach... a silne uderzenia w czaszkę musiały spowodować wstrząśnięcie nerwów i tę bezwładność chorego. Strzemeczny, który, jako dawny żołnierz, z ranymi nieraz miał do czynienia, i chłopak przybyły pomagali proboszczowi do obmycia i obandażowania nieznanego, który zdawał się rozbudzać, jęczał i coraz wyraźniejsze dawał życia oznaki.

Proboszcz, troskliwy o pacyenta, kazał go z tapczanem ostrożnie przenieść na probostwo, a sam zaraz posłał po chirurga do Zakopanego. Zdawało mu się, że nim ten przybędzie, zwilżenie ust wodą, trochę ciepłego napoju nie mogło zaszkodzić, a przyczy-

niłoby się do rozbudzenia życia. Wlano więc w usta ściśnięte kilka łyżek wody, a potem rosołu. Wistocie proste środki te zdawały się pomagać nieco tak, że symptomy życia coraz były wyraźniejsze, z czego proboszcz cieszył się niewymownie. Pobity jednak jęknawszy, wymówiwszy kilka wyrazów, usypiał znowu.

Nad wieczorem nadjechał chirurg, który tu w pustyni u stóp Giewontu zwał się już poprostu panem doktorem, a dla dawnych tradycji fizykiem. Był to człowiek nie wielkiej nauki, ale ją zastępowało doświadczenie długie; jał się więc środków, których skuteczność była mu znana... Opatrzenie czaszki przekonało, iż kość nigdzie nie była uszkodzona, ale skóra poprzecinana i wstrząśnienie bardzo możliwe. Wiedziało przybyły, po co go wieziono; zabrał więc z sobą, co wedle wszelkiego podobieństwa posłużyć mu mogło, miał lekarstwa i spędził noc z proboszczem razem przy łożu chorego.

Młodzieniec ów, w którym doświadczony czytelnik domyślił się już łatwo biednego Zbigniewa, obudzał we wszystkich litość i nadzwyczajne zajęcie; podróżni w tej porze roku wczesnej około Tatrów nie są zjawiskiem powszedniem, nie umiano sobie wytłumaczyć, gdzie i po co zapuścił się biedak sam jeden, bez przewodnika. Gdy się wieść o nim rozniosła po osadach sąsiednich, żyd arendarz z niedalekiej wioseczki przypomniał sobie, że młody podróżny, polak, ale mówiący nie po krakowsku, był u

niego przed paru dniami, odpoczywał, a co dziwna rozpytywał o cyganów i o jakiegoś Dżęgę.

Ale co za stosunek mógł łączyć go z włóczęgami, trudno się było domyśleć. Dżęgę tego i po węgierskiej i na polskiej stronie znano z dosyć złej strony, jako przywódcę łotrzyków, którzy po gościach dokuczali. Posądzano go o parę zasadzek na pustynnej drodze, wiodącej przez Kościelecką dolinę. Nigdy mu wprawdzie nie dowiedziono niczego, ale obawiano go się powszechnie. Przez niejaki czas nie było go widać, teraz znów i on i parę gromadek cyganów zsunęło się z Węgier i koczowało u podnóża Tatrów... To, co dawniej nie zwracało zbytecznie uwagi, teraz, z innej widziane strony, zajmowało... Tu i owdzie mówiono o Dżędze, przy którym miała być cudnej, nadzwyczajnej piękności cygańska dziewczyna, ubrana wedle ich obyczaju, ale bogato i wytwornie. Mówiono, że to była córka Dżęgi, gdzieś na Węgrzech wychowana, za którą dwóch Węgrów majątnych latało, a kto ją zobaczył, szalał...

Te i tym podobne historye, z dodatkiem wszystkiego, co ludzka fantazyja na najsłabszem rusztowaniu wieszać zwykła, krążyły po wsi, obijały się o probostwo, gdy w parę dni, za staraniem zacnego proboszcza i wprawnego chirurga, nieznajomy począł przychodzić do przytomności, odzyskiwać siły i mowę...

Lekarz zaręczył, że życie już zagrożonem nie

Jest, ale następstwa ran przewidzieć nie mógł. Umysł zdawał się cierpieć od jakiegoś uszkodzenia wewnętrznego mózgu — symptomata te jednakże zwolna samą siłą młodości zabsorbowane zostały... Proboszcz nie był natrętnym w początkach i, jakkolwiek ciekaw wielce, wstrzymywał się od pytań; dopiero gdy Zbigniew podniósł się już, oprzytomniawszy zupełnie, iając nie o nazwisko, stan i przygody badać począł. Wymagał tego porządek sam, bo występku nie można było bezkarnie puścić i należało choćby spróbować jakiegoś sądowego dochodzenia.

Gdy się z tem odezwał ksiądz, Zbigniew zarumieniał się mocno i począł go zaklinać na wszystko w świecie, ażeby z tego wypadku nie wysnuwano żadnej sprawy. Pod pieczęcią największej tajemnicy wyznał on proboszczowi jeśli nie całą prawdę, to jakąś jej część, która przygodę mniej więcej tłumaczyć mogła. Przyznawał się, iż gonił za bandą cyganów, ujęty wdziękami córki starego Dżęgi, że to ściganie ich rozjątrzyło na niego, i ostatecznie po kłótni, do której on dał przyczynę... został tak okropnie pobity... Proboszczowi dało to wcale nieszczerzółne wyobrażenie o młodym człowieku, w takich stosunkach z cyganami zostającym. Wiele rzeczy nie rozumiał, wiele znajdował ciemnymi, ale chorego, póki potrzebował spokoju, drażnić nie chciał.

Rzecz wistocie miała się wcale inaczej. Prawdą tylko było, że Zbigniew szedł w ślady Dżęgi, że pa-

rę razy się prawie z jego gromadką zetknął, ale Lenory, ani starego nie widział. Cyganie mieli swych szpiegów i powody do tego, by ich śledzenie i pogonienie niepokoiły... Dowiedziawszy się o młodym człowieku, który włóczył się za nimi, dopytywał, śledził .. domyślając się w nim pewno jakiego donosiciela, szpiega, czy urzędnika, nasadzili nań kilku silnych drabów i wprowadzonego w pustą dolinę, niemal na śmierć pobili... za trupa już rzuciwszy, po odarciu z tego, co miał przy sobie. Zbigniew dlatego nie wyjawiał całej prawdy, iż się lękał ścigania Dżęgi i tem samem Lenory, która z nim razem w ręce sprawiedliwości wpaść mogła. Pomimo to posądzenie na bandę było powszechne, urząd natychmiast w ślad za nią wyprawił... ale się dowiedziano, że już przebrać się na Węgry potrafiła...

Owocem całej podróży Zbigniewa, który Lenorę pragnął ratować, było, że omal życia nie stracił. Wyszedszy z niebezpieczeństwa jednak, musiał pozostać w gościnnej plebanii, gdyż podróż była dlań niepodobieństwem. Dla proboszcza opatrznociowy to był i nad wyraz miły towarzysz.

W tym zakątku ciasnym człowiek więcej ukształcony, zmuszony z poczciwym, ale prostym ludem obcować, cały w sobie zamknąć się musi, i wszystkie myśli wznioślejsze go duszą, ideje, z którymi się wynurzyć nie może, przygniatają. — Po długim takim milczeniu, rozmyślaniu, gdy się znajdzie ktoś, co zro-



zumie, z kim myśl i słowo wymienić można, jakie to wielkie szczęście i jaka rozkosz dla ducha! W tem położeniu będący proboszcz przywiązał się niezmiernie do pocziwego Zbigniewa, chociaż litując się nad nim, podejrzewał go z błędnych i niejasnych wnosząc tłumaczeń, o jakieś w życiu zboczenia; ale chrześcijańską miłością ludzkie usterki osłaniał, spodziewając się poprawy. Dziwiło go niezmiernie, iż Zbigniew, na którego padały domysły dziwne konszachtów z cyganami, we wszystkim innem okazywał mu się najszlachetniejszym młodzieńcem... Ze wszech miar był on dla niego zagadką.

---

P o węgierskiej Tatrów stronie. nieopodal od grani-  
cy i od drożyny, która, mało komu znana, wiodła  
przesmykami, wąwozami, po nad łożyskami potoków,  
krytymi chody, wśród jodłowych gąszczy, w maleń-  
kiej dolinie, zewsząd osłonionej spadzistemi gór sto-  
kami, zębato wystającemi ku niebu... rozbity był ma-  
ły obóz cygański... Składało go zaledwie osób kilka...  
Stary Dżega, który z fajką, oparty na łokciach, leżał  
na ziemi wyciągnięty, milczący, z dzikim twarzy  
wyrazem, stara, odarta, chuda, z rozpuszczonemi  
czarnemi włosy, plachtą obwinięta cyganka, chłopak  
nag, w kuczki siedząc przy wygasłym ogni-  
sku, i opodal na kamieniu zamyślona... dziewczyna.

W tej ostatniej najwprawniejsze oko nie byłoby  
rozpoznało gwiazdy salonów warszawskich. Nowy cał-  
kiem strój na sposób cygański, chłód, powietrze, nie-  
wygody, niepokój, nie zasiwszy nadzwyczajnej pię-  
kności tego oblicza, zmieniły je i przekształciły, z do-

żyć oryginalnego w salonie czyniąc zjawisko poetyczne jakiegoś, dziwne, urocze wdziękiem, który daje cierpienie nad siły, egzaltując do szału...

Tych czarnych oczu dwoje teraz świeciło nie jak dwa dyamenty, ale jak dwie nocne pochodnie, które płoną ognia ostatkiem... W poruszeniu ust, zmarszczeniu czoła, znać było walkę żywota jakąś i czuwanie bez końca... Schudła, zczerniała, wydawała się zmęczona, ale jak żołnierz w boju, rozgorączkowana zarazem. W tej chwili patrzyła na szczyty gór, na lasy, w dolinę, okiem obojętnym... znękanem... bezmyślnem, znać było, że dusza poszła gdzieś indziej. Chłód wieczora dawał się czuć w osłoniętej dolinie... milczącej jak grób... Nawet lasy nie szumiały... Zdała potok jednostajnie, jak zegar pustyni, mruczał, biegnąc po kamieniach... Różowe skały porosty wiały tu dziwną wonią fiołków, która czasem odurza, jak jest silną... a czuć w niej jakby kruszcowego kwiatu zapachy... Mieszały się z niemi jodeł smolne wyziewy, i zapach traw, i zgorzelizna ogniska, od którego dym przybity rozpościerał się po łące... Para koni, wyprężonych z wozu, pała się na łące i niekiedy prychaniem przestraszała... Na niebiosach złościły się chmury od słońca, którego promienie zwolna ze szczytów znikały. Szafir czystego nieba coraz ciemniał, wieczór nadchodził... Chłopak i rumał skurczony, stara cyganka zносиła gałęzie, mrucząc... Dżęga zamyślony leżał...

Lenora, którą ojciec Zarą nazywał, siedziała chłodem przejęta długo, poczuła dreszcze i wstawszy, poczęła się przechadzać około wozu po dolinie... Osłonięta szeroką pasiastą oponą, która w ciężkich fałdach spadała, strojąc jej postać wysmukłą, wydawała się wśród tych istot zdziwiających jak królowa... Ale na twarzy wypiętnowany był smutek niewoli... i doznanego zawodu... Nawykła do innego życia, napróżno z długich pieśszot, nałogów cywilizacyi uwolnić się chciała... słabła — czuła się chorą. I teraz po krótkiej przechadzce nogi zadrżały, tak, że się o wóz oprzeć musiała. Stanęła przy nim, zwiesiwszy głowę...

Wóz, który był składem mienia całej gromady, teraz rozproszonej w górach i po osadach okolicznych, stał napakowany wszelkiego rodzaju łupem przemysłu cygańskiego. Oczy jej padły na te węzélki dziwne, odzieże podarte, sprzęty niezrozumiałe, żelaztwo bez wartości, lachmany bez barwy... Wśród nich nagle zatrzymało się jej wejrzenie, brew zmarszczyła... przestрах odmalował na twarzy... postrzegła wystający z zawinięcia okrwawionego mały, znany sobie dobrze pugilares. Przed kilku laty ona sama dała go ubogiemu chłopcu, włożywszy weń zasilek na drogę dla jego matki. Nie mogła go nie poznać, a poznawszy, nie sięgnąć poń. Wiedziała wszakże, iż ją stara cyganka i młody chłopak szpieguje i ze zręcznością instynktową, krwi swej właściwą, zarzucając oponę na ramiona, uchwyciła... z bijącym ser-

cem... tę zagadkową jakąś, jakby przez Opatrzność przed nią rzuconą pamiątkę dni lepszych. Zkąd się ona tu wziąć mogła? Zara gubiła się w domysłach — ale pugilares był niechybnie tym samym... Zsechł tylko i zczerniał obroczoney jakby krwią, której się domyśliła na nim raczej, niż ją poznała... Porwawszy go, odstąpiła natychmiast od wozu, niecierpliwa była poznać, co zawiera... ale wieczór już coraz opadał na ziemię ciemniejszy, ogień był wygasł i przy nim czytać było niebezpiecznie, schowała więc do jutra... Całą prawie noc niespokojna marzyła o pugilaresie, który na piersiach złożyła. Spała snem przerywającym... i cicha wiosenna noc ta wydała się jej jak wiek długą... Osłonięta grubą oponą, oparta o wóz, drzemała w marzeniach... Dżęga zawinął się w kilimek i usnął, chłopak okrył łachmanami i padł jak kamień na ziemię, stara w kłębek zwinięta, chrapała... I nic nie było słychać, oprócz szemrzącego strumienia, owego zegara doliny...

Nareszcie gwiazdy pobladły... niebo zwolna zaczęło się rozjaśniać — chmury poróżnowiały i przegnały wiatrem, poszły dalej... szczyty gór oblały promienienie słońca... Zara mogła wstać... Dolina była oblana rosą ranną... na wyżynach mgły się plątały, czepiając po wierzchołkach lasów... a gdzie doszło słońce, dymiły opary białe... Wszystko spało jeszcze głębokim snem poranku... mogła więc odejść nieco i niepostrzeżona rozerwać pugilares... na którym po

dniu czarna krew była widoczniejszą jeszcze... W środku, jakby na potwierdzenie strasznych domysłów, znalazła papiery świadczące, że należał wistocie do Zbigniewa... Ale z kąd mógł się on dostać do cyganów? Tę zagadkę wyjaśnił jej brulion listu, przed dniami kilku pisanego, niedokończonego i włożonego do pugilaresu. List był do doktora; uwiadamił go Zbigniew, iż naostatek ślad gromady cygańskiej, w której Dżęga i Lenora być musieli, wynalazł, cieszył się swoim szczęściem, zbliżeniem do zbiegłej swej pani i nadzieją, że jej być może pomocą... Czytając list, Zara rozplakała się, chwyciła za rozpalone czoło, załamała ręce... i ledwie jęk rozpaczy mogła na ustach powstrzymać. Ta krew, ten pugilares dowodziły jej aż nadto jawnie, że nieszczęśliwy Zbigniew pochwycony być musiał, odarty, zabity może, przez kogo? Przez tych opryszków bezdusznych, którymi jej *ojciec* dowodził.

Nogi zadrżały pod nią, zsunęła się na ziemię... Myśl ta, że Zbigniew padł ofiarą dla niej, że matkę opuścił i osierocił, piekła ją jak żelazem rozpalonem... kochała go jak brata... przywykła doń była, jak do istoty wypiełgnowanej przez się... Była to dla Lenory największa strata, najboleśniejszy cios, jaki ją mógł dotknąć — a padł z ręki, jeśli nie ojca (i tego pewną być nie mogła) — to przynajmniej jego towarzyszyków i za wiedzą wodza, bez którego nic się nie działo...

W osłupieniu łzawem, schowawszy papier i książkę nieszczęsną, pozostała tak zdrętwiała. Co począć było, co począć!

Siedziała długo w osłupieniu... słońce przez wąwóz między górami wdarło się na dolinę i długą smugą światła błysnęło, oblewając ją... Ogrzana jakby tym promieniem, rozbudziła się ze łzami w oczach... Ten ranek taki pogodny, ta wiosna otaczająca przypomniały jej dawne ranki wiosny przeżyte i życie całe, kołysane dłońmi najserdeczniejszej z matek... pieśczoły losu w dzieciństwie, jakby dlatego dane, aby po nich terazniejszy dramat wydał się straszniejszym jeszcze.

Pusta dolina była obrazem jej życia, wśród którego stał ów obóz cygański o białym dniu, odarty z uroku poezyi, z łachmanów okrwawionych i ubożego wozu złożony... z postacią ojca, do którego stwardniałego serca, duszy skostniałej, nawet pieśzczone słowo dziecięcia przemówić nie mogło... Zbigniew, broczący we krwi za to, że chciał jej przyjść w pomoc, zabity i odarty przez współników Dżęgi, jak widmo stał przed nią. Nie ocaliła ojca, a winną była jego śmierci... Nie śmiała spytać o niego.

Wśród tego bolesciwego zadumania, w którym czuła się ujętą jak w więzieniu, nie znajdując wyjścia nigdzie, rozbudził się Dżęga, i krzyk chłopaka, którego targnął za włosy, aby wstał, oznajmił, że stary był na nogach. Posłyszała go Lenora i cygan-

ka śpiąca przy wozie; zarżały nawet konie, poznając ten głos pański, którego słuchać były nawykły. Chłopak począł ogień rozpalać machinalnie. Dżęga obejrzał się, nie widząc córki i długo szukał jej oczyma, ale nie zawołał. Dostrzegł ją w dali i poszanował może smutek, którego się domyślał.

Napił się wódki z flaszki, którą napowrót wetknął do woza, zapalił fajkę i powoli począł iść ku Lenorze, która się z miejsca ruszyć nie mogła. Już zdała poznał na jej twarzy wzruszenie i boleść; patrzył na nią, idąc, naostatek, zbliżywszy się, w słońcu legł na trawie, obrócił twarz ogorzałą ku niej i rzekł:

— A co? żał biedniaczce ciepłej izby, cienkich sukni i tamtego życia! Jam o tem wiedział, że tak będzie! Chciałaś pójść za ojcem, otóż masz, coś zyskała, chłodne noce pod gołym niebem na twardej ziemi. A toć jeszcze jeden z tych noclegów, który człowiekowi wspomnieć miło... nie było ani trzaskającego mrozu, ani ulewy, coby do ciała przemoczyła... Ty tego życia nie wytrzymasz, i po co ci się to zdało?... Ja to zrozumiałem... Tobie trzeba żyć w pałacu, białym chlebem... i na starość zapracować... Ty pojedziesz z Sandorem Palmy...

Lenora spojrzała na ojca groźnie...

— Ah! — dodał stary — przewrócona głowo; cóż, chcesz, żeby Sandor się wprzód z tobą ożenił? A na co ci to? czy go twoje oczy nie mocniej wiążą od głupiej przysięgi, której z nich żaden nie do-



trzymuje?... Ale z ciebie zrobili chrześciankę... że teraz nie wiedzieć, jak do rozumu przyprowadzić! Wszystko u ciebie grzechem! Śmiej się z tego! Sandor ładny chłopiec... dla ciebie gotów oddać koszulę... i mnie dobrze zapłaci, boć mi się coś za dziecko należy... i tobie u niego dobrze będzie... bylebyś rozumiała. A darmo ci ze mną na słowa się bić—ja nie dam się wziąć! Co ja powiem, musi być! Proszę się dziś ubrać jaknajlepiej... bo Sandor przyjedzie, targu dobijemy... Chcesz, czy nie chcesz... musisz z nim iść.

— Ojcie! — odparła Zara — czy u was, cyganów, rodzice dziecko jak konia sprzedają?

— Nie jak konia, ale jak człowieka — zawołał Dżega.—Niby to gdzie jest inaczej! — Rozśmiał się.— Tak samo na tym świecie bogatym i mądrym... tylko to inaczej wygląda... sprzedaje ojciec, matka, krewni i sama dziewczyna siebie...

— A jak ja nie zechcę?—zapytała.

— Wsadzę cię związaną na wóz lub na konia i pojedziesz. Będziesz się złościć... ale uledez musisz, nawykniesz i będzie ci dobrze... Nie sprzedają cię staremu trupowi. Sandor ładny chłopiec.

— Ale ja nie chcę Sandora...

— Cóż to ja ci królewiczów mam szukać? — rzekł cygan szydersko.—Porzucisz go potem i będziesz sobie sama wybierała... ale kiedy cię mam w rękę, byłbym głupi, gdybym cię cyganowi dał...

Lenora się wstrzęsła cała... postrzegł to ojciec.

— Słońce wysoko — zawołał — idź się ubieraj! idź! — podniósł rękę z nahajką, dobytą z za parę... — Sandor może nadjechać, pójdę sam po niego... nie chcę, by cię tak zobaczył, jeszczeby mu ochota odeszła...

Z ogniem w oczach, ale z rezygnacją Lenora poszła zwolna ku wozowi... Dżęga, który ją śledził oczyma, nie mógł już odgadnąć, co myślała...

Od kilku godzin uczucie niemocy, rozpacz, żal po Zbigniewie, złamały tak biedną dziewczynę, iż postanowiła korzystać z nastroczającej się zřeczności do oswobodzenia.

Sandor Palmy, o którym wspomniał cygan, łatwiejszym był może, niż sądziła, do pokonania od ojca... W czasie pobytu na węgierskiej ziemi u podnóia Karpat wypadkiem spotkali, konno przejeżdżającego majętności swoje, Sandora. Był to młody magnat, wychowany we Francyi, od niedawna władaający majątkiem, mężczyzna piękny, zdający się wykształconym i mający w sobie coś rycerskiego. Piękna twarz i postawa Lenory zwróciła jego oko, po kilka razy przyjeżdżał do obozu, starał się zbliżyć do niej, ale w obawie, aby nie rozbudzić w nim zbyt żywej namiętności, ukazując mu się z idealniejszej strony, Lenora udawała przed nim prostą cygankę. Dżęga, wiedząc o bogactwach Palmego, umyślnie go pociągał, powziąwszy myśl sprzedania mu córki.

Według jego pojęć, był w najzupełniejszym prawie uczynić z nią, co mu się podobało.

Mimo milczącej i smutnej postawy Lenory, która unikała okiem nawet nań rzucić, Palmy po trzeciej, czy czwartej bytności w obozie, rozgorzał namiętnością dla cyganki. Chociaż Zara udawała dziką, prostą dziewczynę, zdradzało w niej inny obyczaj wychowanie, ruch, postawa, a nawet białe, delikatne ręce... które Sandor pożerał oczyma. Był on jednym z tych ludzi, co się w rękach kochają. Zakochał się w przypadku dojrzałej rączce Lenory. Przyłączyło się do tego młodzieńcze marzenie wychowania tej dzikiej istoty i stworzenia z niej tego ideału wszczepionej cywilizacyi na latorośl młodą i silną, jakiej ona sama już nie wydaje. Sandor powiedział sobie, że ją zawiezie do Paryża, że weźmie nauczycieli, że ten dyament czarny oszlifuje tak, iżby mógł zdobić królewską koronę. Nie wiedział, nie domyślał się wcale... czem wistocie była Lenora...

Milcząc i patrząc nań, choć dla niego najmniejszego nie powzięła uczucia, cyganka poznała go instynktem jako szlachetniejszą istotę, zabłąkaną w marzenie... Rachowała więc teraz na niego, iż odzywając się do serca i szlachetności... odzyska swobodę, którą przez miłość dziecięcia straciła...

Posłuszna więc na oko ojcu, poszła ku wozowi, aby się przeodziać. Stara cyganka pomogła jej skwapliwie, patrząc z rodzajem zazdrości na tę cza-

rodziejską młodości postać... marząc może o jej przyszłości.

Dżęga także przywdział kurtę i przybrał poważną minę kupca, który. drogi towar ma na zbyciu...

Było już około południa, gdy wprawne ucho cygana usłyszało tentent koni i węgierskiego wózka na drożynie, przez wąwóz wiodącej w dolinę. Spojrzał na Lenorę, a spokojna, blada jej twarz snąć go upewniła o posłuszeństwie, bo się wpatrzył w szyję wąwozu i córce dał pokój. Echo gór coraz dobitniej przynosiło stukot kół po kamienistej drożynie, stąpanie koni i brzęk uprzęży. Tuman kurzu, pędzonego lekkim wiatrem, ukazał się w szyi między górami, potem ręce konie i wóz i dwóch jeźdźców na tęgich wierzchowcach. Jeden z nich, wyjechawszy za ledwie z wąwozu, klasnął na konia i w cwał puścił się ku cyganom, potem czarnego osadził w miejscu i zeskoczył, rzucając mu cugle na szyję. Był to Sándor Palmy.

Młodzieniec był piękny, z oczyma ognistemi, czarnym włosem, zbudowany jak Antinous, a strój opięty narodowy dodawał mu posagowego wdzięku. Na twarzy wszakże znać było może, iż ta gorąca natura Atyllowskiego prawnuka w osłabiającej łaźni stolic europejskich wyssaną została; Paryż i Wiedeń zostawiły ślady na obliczu nieco zmęczonem... sarkazm prześliznął się po tych ustach, w oczach błyskało szyderstwo...

Dżęga, pokornie zdjawszy kapelusz, szedł z ręką spuszczoną ku niemu.

— No, a cóż stary? — spytał Sandor, zatrzymując się i patrząc w stronę, gdzie stała Lenora — a cóż? dziewczyna się zgadza, czy nie?

— Musi! — rzekł Dżęga.

— Ale ja nie chcę łez i płaczów! — przerwał Sandor — to nudne...

Dżęga ruszył ramionami.

— Ej — rzekł — u nas w miłości łzy nie szkoda, u was nie wiem!... Jak do ryby pieprzu, tak do miłości łez trzeba.

— Daj mi tam pokój, jeśli dziewczyna się będzie opierała... ja nie chcę...

— Myślę, że nie — zawołał Dżęga — powiem jej dwa słowa...

Palmy nie posunął się ani krokiem, dał odejść staremu, który pospieszył do Lenory, groźnie przemówił do niej, nie otrzymał wprawdzie odpowiedzi, ale nie posłyszał też i odmowy... i pospiesznie wrócił do Sandora, wskazując mu ręką córkę...

— Przecież idźcie do niej zagadać... dziewczyna rozmowna... a tylko umieć trzeba usta jej otworzyć...

Palmy korzystał pospiesznie z pozwolenia, poszedł żywo ku Lenorze, i zawsze jeszcze sądząc ją cyganką, powitał z pewnym rodzajem poufałości. Czekło go tu niespodziane i niepojęte dlań zdziwienie.

W chwili, gdy się zbliżał do niej, miała oczy śmiało po raz pierwszy zwrócone na niego z wyrazem, którego w nich spotkać się nie spodziewał. W tych oczach podniesionych, śmiałych, mówiących nie dziką myślą dziecka pustyni, ale promieniem rozumu, Palmy ujrzał—poznał istotę jakby nową... Lenora, przebrana tylko po cygańsku, wydała mu się Paryżanką... Jeszcze ust nie otwierała... osłupiał. Zdawało mu się, że inna od tamtej pierwszej dziewczyny nieśmiałej, z oczyma spuszczone i siedzącej—zajęła jej miejsce. Staął...

Lenora miała już cały plan postępowania osnuty; korzystając z chwili zdumienia i zawahania, nim Sandor miał usta otworzyć, odezwała się śmiałym, dźwięcznym, ale powagi pełnym głosem, po francusku:

— Ráchuję na uczucie honoru węgierskiego magnata, wszak się na niem nie zawiodę?

Na dźwięk tej mowy Sandor zbladły, strwożony, stanął jak wryty, nie wierzył uszom swoim. Lenora mówiła dalej:

— Przybyłeś pan dogodzić jakiejś fantazyi wielkiego pana, kupując córkę cygańską dla zabawy?... Mogę to mu przebaczyć, bo nimie ocalisz, gdy zachcesz.

Sandor jeszcze się nie zebrał na żadną odpowiedź, ale machinalnie sięgnął ręką do czapeczki, zdjął ją z wielkiem poszanowaniem i uklonił się.

— Posłuchaj mnie pan — poczęła Lenora. — O białym dniu, wśród dziewiętnastego wieku, wpadles w historię z Tysiąca nocy... Ale są rzeczy prawdziwe a nieprawdopodobne...

— Słucham pani—nieśmiało odparł Sandor.

— Tak, jestem córką Dżęgi — dzieckiem od pierśi matki wziętą byłam na wychowanie przez bezdzietną zącną, świętą kobietę, która mnie jak własne dziecko ukochała i wychowała jak pańskie dziecic... Moja matka i opiekunka umarła... Ojciec przyszedł; widząc upadek tego człowieka, sama dobrowolnie posłał za nim w nadziei, że go nawróci... Oto w kilku słowach historia moja... Widzisz pan, że po jego czynie dzisiejszym musiałam wszelką utracić nadzieję. Nie mam teraz środka uwolnić się z rąk jego, tylko przechodząc w ręce wasze... ale wy bądźcie szlachetni...

— Pani!—zawołał, zapalając się Sandor—życie dam w twój obronie. Nie obwiniaj mnie... Sama piękność twoja mnie pociągnęła, teraz twój los czyni niewolnikiem... Zrobię, co zechcesz...

Żadnej nie wymagam ofiary, oprócz tej, którą każdy szlachetny człowiek niesie nieszczęśliwej kobiecie. Ten okup, który dasz ojcu, ja ci go mogę powrócić i wrócić. Moja opiekunka zostawiła mi część swojego majątku.

Sandor się oburzył.

— Ale mój cały majątek, jeśli każesz, kładę ci pod stopy, zrobię co zechcesz...

— Słowo uczciwego człowieka?...

— Słowo węgierskiego szlachcica...

— Jestem duszą i sercem Polką — dodała cyganka. — Dwa narody te związały dzieje i sympatyje, jesteśmy siostrą i bratem... Cyganka krwią, Polką jestem duchem... pomóż mi, zaklinam cię.

Sandor się zbliżył cały rozpromieniony. — Ale czyż pani wątpisz jeszcze, czyż wątpić możesz?...

— Wierzę — odparła Lenora. — Bóg nad nami. Mów z ojcem.

Sandor odwrócił się szybko. Cygan stał nieco opodał, rozmowa była mu niezrozumiałą, ale usiłował ją odgadnąć z twarzy, z głosu, z ruchów, i nie zrozumiał nic nad to, że jakaś zgoda nastąpić musiała pomiędzy córką a magnatem. Uśmiechał się radośnie, myśląc z zapалу, jaki się na twarzy Sandora malował, korzystać.

Palmy nadto też pospiesznie, niecierpliwości ukryć nie umiejąc, zbliżył się ku niemu. Dżęga włożył rękę za pas, czekał.

— No, stary — zawołał Węgier — dobijemy targu.

— Dziewczyna się zgadza? tak! to dobrze. Ale wy, kochany paneńku, nadto z nią zaraz postąpiliście pokornie... Mnie do tego nic... a tak się nie prowadzą kobiety, siedzie wam na karku... Straszyc je trzeba, nie płaszczyc się przed niemi...

A po chwili dodał:

— Musicie dobrze zapłacić; dziewczę, jakiego



w całym Peszcie ze świecą nie wyszukacie: gra, śpiewa, chodzi uczono, a gardło wam daję, że jej męzka ręka nie dotknęła, bo to harde jak królewna... O! musicie dobrze zapłacić!

Sandor przez jakieś uczucie wstydu odprowadził w bok cygana, aby nikczemny ów targ nie obił się o uszy nieszczęśliwej. Miarkując z rozognienia młodego człowieka, któremu pilno było cudną przygodę doprowadzić do końca, cygan się począł targować twardo. Sandor milczał ponuro, słuchał, myślał więcej pono o tem, co mu mówiła Lenora, niż o cyganie, który stał przed nim, nie mogąc go wyrozumieć. Milczenie magnata posłużyło mu, bo Dżęga uląkł go się zrazić i nareszcie postawił żądanie, które jakkolwiek dosyć znaczną wynosiło sumę, mogło wszakże być przyjęte. Jako dobry ojciec, cygan zażądał przy tem, aby Sandor nie bił jego córki i łagodnie się z nią obchodził, nie folgując wszakże zbyt... Dodał, że w posagu jej oddaje wszystko, co z sobą ma, wychwalając suknie drogie i kupowane fraszki...

Sandor słuchał ciągle jakby we śnie. rozgorączkowany, by prędzej skończyć, poprowadził do swego wózka Dżęgę i tam ostatecznie z nim wreszcie dobił nieszczęsnego targu.

— Nim ją zabierzesz — odezwał się nareszcie z dziwnem westchnieniem Dżęga — niech no ja z nią pomówię; dam jej jeszcze naukę na drogę...

— Jaką? — groźnie spytał magnat trochę wylę-

kły — ona już należy do mnie, wara obrazić ją słowem nawet!

— O, nie bójciez się, muszę się z nią pożegnać — rzekł stary, to długo nie potrwa, dwa słowa.

Schował fajkę do kieszeni i skrobiąc się po siwych kudłach, powlókł powolnym krokiem ku córce, która stała jeszcze w tem miejscu, gdzie ją był Sandor porzucił.

— No — rzekł — wszystko skończone! Nie masz czego płakać. Lepszy cię los spotkał niż się spodziewałem... Chłopak ładny i, zdaje się, powolny... Nie patrz-że tak na mnie straszno, głupia dziewczyno — dodał gniewnie — powinnaś mi dziękować...

Lenora przystąpiła doń powoli.

— Bądź zdrów — rzekła — Bóg ci jak ja przebaczy — bo nie wiedziałeś coś czynił, a on wiedział jak mną rozrzadzić... Nie lękaj się, wymówek ci czynić nie będę, ale uczyn mi łaskę przy rozstaniu...

— Wszystkie odzienie ci oddaję... bierz — zawołał cygan, nie rozumiejąc dobrze, o co chodziło.

— Poszłam za tobą — odczuwała się — w nadziei, że cię dla mojego Boga nawrócę... Bóg nie przyjął ofiary... ale On cuda czynić mocen; zrób to dla mnie — dodała, zdejmując z szyi krzyżyk złoty, na sznurku jedwabnym zawieszony — uczyn to dla mnie, pozwól, abym ci włożyła ten wizerunek Boży poświęcony na szyję; to, czego ja nie dokonałam, On cudem uczynić może.... przemówi do serca, znajdzie doń drogę, jakiej ja nie potrafiłam wyszukać...

Dżęga patrzył, śmiejąc się.

— Che! che! — zawołał — dobrze! dobrze... będę go nosił na szyi. Ty bo nie wiesz — dodał cicho — ja trzy razy byłem chrzczony! Za każdy raz mi zapłacili! A co mnie to szkodzi!!

Lenorze łzy stanęły w oczach, gdy się pożegnać zbliżyła.—Dżęga ją po ramieniu uderzył.

— Tylko bez łez — szepnęła — tem go nie ujmiesz! kto bierze dziewczynę, chce, by mu było wesoło. Śmieję się... otrzymasz co zechcesz... Dalipan, chłopiec tęgi i ładny.... księżniczka by się go nie powstydzila...

Milcząc już poszła Lenora do wozu pożegnać starą cygankę, która coś mruknęła niezrozumiałego, śmiejąc się dziko... Sandor czekał na nią przy wózku... Podał jej rękę do wsiadania... chłopak rzucił węzełek z sukniemi. Palmy dosiadł karego.

— Dokąd jechać? — zapytał...

— Przez Kościelisko do Zakopanego! — zawołała, rumieniąc się, płacząca Lenora. Węgier nie spojrział już nawet na Dżęgę, który stał krzesząc spokojnie ognia do zgasłej fajki; konie ruszyły i wózek potoczył się kamienistą drogą między skały nad potokiem.

W chwilę potem cyganka i chłopak patrzący za odjeżdżającymi nie widzieli nic, oprócz tumanu białego pyłu, który wiatr gnał w dolinę... Dżęga położył się na ziemi i wysypawszy złoto z kieszeni na chustę, począł je liczyć raz jeszcze...

W dolinie Kościeliskiej, u rozwalin opustoszo-

ných starej karczmy i jakichś budowli, zatrzymał się dopiero wózek... Przez cały czas drogi Palmy jechał to obok Lenory, to za nią, nie śmiać rozpoczynać rozmowy, bo dziewczę płakało i mówić nie mogło. Czując, że jej strój cygański może zwracać oczy i budzić niepotrzebną ciekawość, Lenora sama poprosiła Sandora. aby pozwolił się jej przebrać. Zabrała węzelek z sukniami i, zakryta ścianą rozwalin, przemieniła ubranie na słomny zwyczajny strój, w którym w Warszawie wyszła z domu.

Gdy się ukazała, zdziwił się Węgier zmienionej zupełnie i jeszcze wysz'achetnionej postaci. W wózku jego były zapasy podrózne, ludzie rozpalili ogień pod skalą, Lenora siadła na kamieniu, a Palmy miał się za szczęśliwego, że jej mógł służyć. Trzeba przyznać, że szlachetne uczucie dawało jego obejściu z nią delikatność, na jakąby w jego położeniu mało kto mógł się zdobyć. Słowem jednym nie obudził wspomnienia chwili tylko co minionej i przykrej, ani się tłumaczył ze swojego postępowania. Z troskliwością rycerską starał się posługiwać Lenorze i dowiedzieć, czegooby po nim wymagała. Nie wątpił wszakże, iż takim postępowaniem serce sobie zaskarbić potrafi. Historya Lenory taka, jaką mu ona opowiedziała, po rozmyśle wydała mu się nieco nadto romantyczną, aby być miała ściśle prawdziwą. Domyślał się w przeszłości innych jakichś przygód, ale to w oczach jego uroku Lenory nie zmniejszało. Każde

jej słowo, dowodzące znajomości świata, ludzi, literatury, sztuki wprawiało go w nowe podziwy i zachwyty. Odgadywał w końcu, że heroina jego musiała być pewnie artystką jakiegoś teatru... i niepospolitą. Historya wojewodziny nie zdawała mu się możliwą... ale umiejętnie wymyśloną.

— Ha! — mówił sobie w duchu — wszystko to przecie musi się wyjaśnić; to pewna, że nie opuszczę jej, dopóki prawdy nie dośledzę, a dośledziwszy—jak wypadnie postąpić—zobaczmy.

W czasie spoczynku wśród pięknej doliny Kościeliskiej rozmowa była prawie obojętną. Dopelniając tego, co mu wprzód opowiedziała Lenora, dodała jeszcze słówko o Zbigniewie i pokazała pugilares skrwawiony, prosząc Sandora, aby się mogli dowiedzieć w Zakopanem, czyli tam co o zabitym młodzieńcu nie słyszano.

Sandor zgodził się na to chętnie, a że wieczór się zbliżał i cienie długie zasnuwały uroczą dolinę, wózek zaprzężono, aby dosiadać Zakopanego przed nocą. Ludzie Palmego znali dobrze drogę, zresztą dosyć już, minawszy dolinę, utartą i nie błędną...

Tak w milczeniu znów dojechali do wioski... Sandor sam zsiadł z konia, aby nocleg przygotować, a że w Zakopanem przebywa zwykle latem dosyć ciekawych gości, łatwo mu było znaleźć chatę czystą i stajenkę dla koni. Wprowadziwszy Lenorę do izby czystościuchnej i świeżej, której gospodarze przyjęli po-

dróżnych z gościnnością górali. Sandor, nie spocząwszy, poszedł sam na zwiady... Chociaż w tych wioseczkach podtatrzańskich mało na pozór jest życia i ruchu, wśród samotności i ciszy każda nowa wieść rozbrzmiewa łatwo. Ludzie idący do kościoła, spotykający się na gościńcach, rozpowiadają sobie najmniejszą przygodę, coś dopiero, gdy się coś niezwykłego przytrafi. W Zakopanem wiadano już o uratowanym nieznajomym, który był w sąsiedniej wiosce na plebanii u księdza. Wprawdzie trudno było domyśleć się, czy był to ten sam, o którym rozpowiadała mu Lenora, lecz zbliżenie dat czasu, miejsca, rozgłos, iż cyganie byli sprawcami morderstwa, niezmiernie prawdopodobnem czyniły znalezienie w uratowanym tego, którego ona za zabitego miała. Sandor, chociaż w nim domyslał się kochanka, rywala, choć był już zajęty swoją zdobyczą do szaleństwa, nadto był szlachetnym, żeby śmiać tać przed Lenorą, co posłyszał.

Pospieszył więc do niej z wieścią pomyślną. Zapóźno już było dnia tego, by do sąsiedniej wioski pospieszyć. Lenora słabą też miała nadzieję, ażeby Zbigniew mógł być uratowany; dalszą więc podróż odłożono do jutra. Sandor pozostał na straży chaty, w której górale przyjęli na nocleg podróżnych, w podwórku rozłożono się obozem.

---

**Z**bigniew był nieco lepiej: starania plebana, młodość, niewykwintne leki wiejskie, które wiele przynajmniej zaszkodzić mu nie mogły, dozwoliły naturze oddziaływać przeciw ranom i stłuczeniom, a gdy raz siły jej działać zaczęły, czas tylko stanowił o wyzdrowieniu. Choć poobwiązywany, wybladły, okryty sińcami, chłopak mógł się w rzadkie dnię ciepłe na wiosennem słońcu wygrzewać. Uspakajając matkę, napisał do Warszawy, nie wzmiankując wcale o nieszczęściu. Szerzej doniósł o niem doktorowi, będąc do tego zmuszony stratą papierów i ostatniego grosza. Nie wiedział, co dalej pocznie, chociaż straszliwy ów napad bynajmniej go nie odwiódł od myśli ścigania Lenory... Umysł jego nią tylko był zajęty.

Dnia tego właśnie dozwolono mu około południa wyjść przed plebanję, której ganek zwrócony był ku słońcu; siedział na ławce, położywszy głowę na rękach, opartych na poręczach... i patrzył na dalekie

pasmo gór, z których ostatnie obłoczki odlatywały, rozpuszczając się w powietrzu, gdy w bramie ukazała mu się Lenora, a za nią nieodstępny towarzysz, węgierki panicz, w swem malowniczem ubraniu.

Zrazu Zbigniew wziął to za jakiś sen oczów widoku jej spragnionych, ale gdy Lenora żywym coraz postępując krokiem, ku gankowi zbliżyć się poczęła i poznawszy już Zbigniewa, wyciągnęła ku niemu ręce—wstał na chwiejących się nogach, pobladł i padł na ławę bezsilny. Widok Lenory byłby może na nim tego nie sprawił wrażenia, ale tajemniczy ten towarzysz jej, w którym się domyślał — ktoś wie — męża? kochanka? — przybił biednego. Wielkimi oczyma patrzył, nie mogąc się słowem odezwać.

— Panie Zbigniewie, czyś mnie nie poznał?

— A! pani! — zawołał słabym głosem ranny — czyżby to być mogło? Aleś się widzieć nie spodziewał... w oczach mi się zaćmiło, nie dowierzałem im...

Lenora, zapomniawszy o towarzyszu, weszła na ganek pospiesznie i poufale siadła przy nim na ławce, wpatrując się w tę twarz, na której malowało się tak dobitnie cierpienie — męczeństwo, które on poniósł dla niej.

Łzy zakręciły się w jej oczach.

— Zaczny, pocziwy, dobry przyjacielu mój! powinienem ręce twe ucałować... tyś o mało życia nie postradał dla mnie — zawołała — ja wiem wszystko... ja przyszedłam ci na kolanach podziękować...



Zbigniew się uśmiechnął nieco rozpromieniony, ale wejrzenie padło na urodziwego Węgra i spytał oczyma Lenory — ktoby on był. Odgadła myśl jego, i skinęła na niewolnika.

— Hrabio Sandor, podaj rękę temu bratu memu po niedoli, powinniście być przyjaciółmi, bo oba serca macie szlachetne. A ty, Zbigniewie, powiedz mu moją historię prawdziwą, całą, bom na czole jego wyczytała niedowiarstwa cień... a nie chcę, by mnie pośądzał... Hrabio Sandor... pytaj go... Mnie pozwólcie wejść do plebanii i podziękować gospodarzowi...

Węgier zmierzył oczyma tego, którego za przeciwnika uważał...

— Mów pan — rzekł — nie jestem nieufny, ale żądny jestem wiedzieć dziwne przygody tej kobiety... którą miałem szczęście wydrzeć z rąk brudnych...

— Wszakże ona sama wszystko wam już powiedzieć musiała—rzekł, podnosząc głowę Zbigniew—swe pochodzenie, przysposobienie przez świętą i zącną niewiastę, osierocenie po jej śmierci, i to, co ucierpiała od krewnych, i swe poświęcenie dla ojca... cóż ja tu dodać mogę?

Sandor, zdziwiony wielce zgodnością dwóch powieści, milczał.

- Ale czego ona sama powiedzieć wam nie mogła — dodał Zbigniew — to przymiotów duszy, to skarbów serca, to swojego bohaterstwa, cierpliwości... i cierpienia... Jeśliście na chwilę ją pośadzili,

szanowny panie, grzech to, bo czystszej istoty nie ma i nie było na świecie.

— A czemuż wy dla niej jesteście? — zapytał Palmy.

— Ja jestem robakiem, którego wychowała, ubogiem chłopięciem, ratowanym przez nią, jej winieniem wszystko i gotowem umrzeć dla niej.

— Ale cóż ją pobudzić mogło rzucić się w tę otchłań cygańską? — spytał Sandor.

— Poświęcenie dla ojca! chciała go nawrócić, sądziła to swym obowiązkiem.

— Cygana? Starego zatwardziałego zbója chce na ostatnie lata zrobić uczciwym człowiekiem! — Rozśmiał się Palmy.

— Wierzę, iż taka piękna pani cudów dokazywać może, ale to przechodzi ludzkie siły... sam Bóg pono nie dokaże tego...

Ruszył ramionami, zamyślił się i zwrócił może unyślnie rozmowę.

— A wy co z sobą myślicie? — zapytał.

— Ja? — rzekł Zbigniew — naprzód trzeba, bym mógł myśleć... Do wczoraj jeszcze w potłuczonej głowie snuły mi się gorączkowe widma, nie myśli... a dziś budzę się dopiero do życia... Czy będę żył — ktoś wie... Cyganie chcieli widocznie, bym nie wstał więcej z tych zarośli, do których mnie, tłukąc, zawlekli... Czulem ciepłą krew, oblewającą mi oczy i twarz... i... potem — nic...

— Wielu ich było? — spytał Sandor.

— Czterech... Zbliżyłem się śmiało, z zaufaniem, szliśmy, prowadząc rozmowę, nie posądziłem o zasadzkę. Obiecywali mnie zaprowadzić do Dżęgi, gdy nagle, odszedłszy ścieżką do gościńca...

Na te słowa weszła Lenora z proboszczem. Węgier wstał na ich przyjęcie, a Zbigniew przestał mówić.

Z rozmowy z plebanem przekonała się cyganka, że Zbigniewa, którego chciała zaraz zabrać ztąd, aby go oddać w ręce bieglejszych lekarzy, niepodobna było wieść jeszcze. Stan jego nie dozwalał o tem ani pomyśleć.

Doktór wielce powątpiewał o wyzdrowieniu, lekając się, by jaka choroba nie wywinęła się skutkiem ran i potłuczeń; w każdym razie spokój był dlań pierwszym warunkiem kuracyi. Lenorze zaś potrzeba było natychmiast spieścić do Warszawy, aby wykupić się z tego rodzaju niewoli Sandora, która jej ciążyła, i wyjść z fałszywego położenia.

Węgier im bardziej się upewniał, że w powieści o przebranej za cygankę czarodziejce nie było fałszu, tem mocniej ku niej się zapalał. Milczący stał na uboczu, ale w duchu powtarzał sobie, że na krok jej nie odstąpi... Szczęściem miał do tego pozór dobry, bo była samą i potrzebowała opieki... inaczej wstydby mu było odgrywać rolę natrętnego wierzyciela.

Pleban, człowiek surowych obyczajów, mimo pewnych już wiadomości o przygodach osób, które się pod jego dachem zebrały, wcale nie rad był tej pannie cygance, temu magnatowi węgierskiemu, łączącemu się z nią jakimś niesakramentalnym węzłem, Zbigniewowi nawet, który mu gości takich naprowadził. Na wytłomaczenie dlań tak drażliwych stosunków nie starczyła lada powiastka.

Panna, latająca po gościńcach z magnatem węgierskim, oboje piękni i młodzi... nie podobali mu się.

Widać było z jego twarzy posępnej, iż nie rad był odwiedzinom na plebanii... Zbigniew, milczący, myślał tylko nad tem, jak prędko przyjdzie mu stracić z oczów swój ideał i czy go już kiedy w życiu zobaczy...

Lenora szukała w sobie dosyć sił i odwagi, by coś postanowić.

— Mój ojciec — rzekła wreszcie, wstając z ławy — jakkolwiek przeniesienie dalsze chorego byłoby niemożliwe, zdaje mi się, że o kilkanaście kroków do chaty bez niebezpieczeństwa wzięłbyśmy go mogli. W ten sposób uwolniłibyśmy ojca od tego zajazdu i odwiedzin natrętnych... Ja winnam zbyt wiele panu Zbigniewowi, bym go opuścić mogła... zostanę przy nim, ucząc się być siostrą miłosierdzia. Zaczny hrabia Sandor nie odmówi mi z listem moim pojechać do Warszawy...

— Pojechać do Warszawy? — spytał Węgier — jakaż potrzeba tej podróży? Lenora zarumieniła się...

— Potrzebuję dać wiedzieć o sobie moim przyjaciółom... a może, szlachetny hrabio, skłonicie doktora S., by tu do mnie przybyć raczył... Nareszcie... Umilkła wstydząc się dokończyć.

— Nie wątp pani, że pojadę, dokąd rozkażesz... ale jestże potrzeba tego istotna? List zrobi to, co ja... a stracisz pani stróża, który ci być może potrzebnym. — Uśmiechnął się.

— Jeśli zaś — dodał — bytność moja jest dla niej niewygodna, zbyteczną... uciążliwą... wróć do Węgier...

Spojrzał na nią błagającemi oczyma, w których było tyle żalu, prośby i wymówki, iż Lenora się zarumieniła i podała mu rękę...

— Nie gniewaj się pan na mnie... Zrobisz, co uznasz właściwem, ufam panu. Najpierwszą jednak rzeczą jest, byśmy księdza proboszcza uwolnili od załogi... i postarali się o pomieszczenie dla mego obrońcy...

Proboszcz wistocie sam nie wiedział, co odpowiedzieć; do swego pacyenta wielce się przywiązał, a tolerować nie mógł przy nim panny, która nie była ani siostrą, ani krewną i w dodatku miała jeszcze z sobą towarzysza niewylegitymowanego, a widoocznie i desperacko zakochanego, co mu aż nadto z oczu patrzyło. Wybierając z dwójga, wolął już ksiądz rzec się opieki nad chorym, niż to towarzystwo, przypo-

minające mu w młodości czytanego Idziego Blasa z Santylany, przyjmować dobroduszenie na probostwie. Milcząco więc przyjął przemówienie Lenory, sklonił się i nic nie powiedziawszy, znikł.

Lenora, pożegnawszy chwilowo Zbigniewa, sama pobieгла szukać dlań chaty wygodnej, a Sandor czuł się w obowiązku jej towarzyszyć...

Pocztą z tego zakątka odchodziła raz na tydzień tylko; był więc czas przygotować listy do Warszawy do doktora z opowiedzeniem całej przygody i zaklęciem najsilniejszym, aby z powagą swego wieku i powołania na ratunek przyjeżdżał.

Z tego wszystkiego, co się działo, hrabia Palmy powoli przychodził do coraz mocniejszego przekonania, iż Lenora była wistocie tą istotą, jaką mu się w pierwszej chwili przedstawiła. Jej los, położenie, urok twarzy, umysłu, serca, codzień czyniły na nim potężniejsze wrażenie. Nie wiedział jeszcze, jak wyjdzie z przygody, ale wcale nie pragnął, ażeby się skończyła... nie chciał się rozstać z powieścią fantastyczną, którą rozpoczął jako młody szaleniec, a kończył niemal jak poeta...

Zbigniewa na noszach powoli, przy dozorze Lenory, przeniesiono do przygotowanej chaty, Sandor ofiarował się czuwać przy nim. Drugą obok zajęła dla siebie Zara... Chirurg zamówiony codzień miał do opatrywania ran przyjeżdżać. Nie zbywało też na dozorce czułym, bo Lenora nie wahała się z odwagą

czystego serca całe niemal dnie przy chorym w towarzystwie nieodstępnego Sandora przepędzać.

Tu dopiero mógł się Sandor przekonać, że ta, której ukształcenie zdawało mu się może zrazu błyskotliwym pozorem, była wistocie jedną z tych rzadkich, wybranych niewiast, stworzonych na udręczenie człowieka, bo po nich inne wszystkie wydają się ulomniami i niedołączniami. Każdego dnia odkrywał w niej nowy promień, nową jasność, talent nowy lub cnotę.

Wszystko to wytryskało tak z samej natury jej, tak było nacechowane prawdą, że gdy najczęściej przedłużone obcowanie z innemi rozczarowywa i ostudza, bo odkrywa, co było pożyczanem i fałszywem, tu każdy dzień uwielbienie powiększał. Z boleścią wyznać przed sobą musiał wychowaniec Wiednia i Paryża, że ani nauką, ani pracą nie dościgał jej... i często za nią dolecieć na wyżyny nie zdołał.

W dzień niedzielny, przy nieszpórach, choć z wielkim wstrętem i obawą księdza plebana, Lenora wprosiła się na chór do organu, który jakimś szczęściem, mimo skromnych rozmiarów, jeszcze był strojny...

Jakież było podziwienie i księdza i organisty i słuchaczy, gdy z tego umęczonego instrumentu, który pod ręką niewprawną swego władcy wydawał niesforne akordy, popłynęła rzeka tonów czystych, harmonijnych, słodczych pełnych i związanych tak umiejętnie, iż się zdawały splecionym wieniec aniel-

skich pieśni. Proboszcz nie miał tej muzyce nic do zarzucenia, prócz że pochłaniała ustną modlitwę, zjadła myśl i zmieniała ją w uczucie, pod tą postacią eteryczną niosąc ją przed tron Boży...

Sandor wyszedł z tych niesporów zadumany, poruszony, przejęty. Muzyka, która zwykle to mówi do człowieka, o co on ją pyta, odpowiedziała mu, że nie był godnym tej, z pod której rąk płynęła. Organista, upokorzony wielce, utrzymywał sam jeden, że to nie była kanoniczna i orthodoxyjna muzyka, ale świeckie madrygaly, które Panu Bogu wstrętne być musiały.

Tak upływały dni w chacie góralskiej, przeistoczonej na gospodę. Nawet podejrzliwy proboszcz, bliżej się przypatrując Lenorze, pomówiwszy z nią, poczynił uprzedzeń się swych pozbywać, chociaż mu Węgier ów i przyjaciel w jej towarzystwie zawsze byli nie do smaku. Jednego przynajmniej z nich rad był z nią ożenić, aby mieć głowę spokojną. Przed ludźmi nawet mówił, że to byli bliscy krewni, obawiając się zgorszenia w poczciwej swej gromadce.

Sandor jednego z ludzi swych wysłał tymczasem na Węgry po rozmaite dla wygody potrzebne przedmioty, których w okolicy dostać nie było można. Przywieziono całe dwa wozy dywanów, krzesła, książki, kuchennych przyborów i zapasów, tak, że owa chata zmieniła się w bardzo wygodne i ładne schronienie. Zbigniewowi jednak cała ta około niego tro-



skliwość zdawała się nie iść ni na korzyść, ni na zdrowie. Smutny był, milczący i stan jego, zamiast się stopniowo polepszać, niemal pogorszać się zaczął. Najtkliwsze starania nic nie pomagały. Serce cierpiało, a boleść jego wstrzymala to dzieło uzdrowienia, które tak szczęśliwie zdawało się poczętem. Po całych dniach, sparty na rękach, słuchał z pewnym wyrazem tęsknoty i trwożliwości rozmów, opowiadań, drobnych sporów pomiędzy Sandorem a Lenorą i nie mieszał się do niczego. Był przekonany coraz bardziej, że Węgier kochał się w niej i że być musiał kochanym. Chociaż nigdy nie miał nadziei, a przynajmniej nie przyznawał się do niej, nie mógł zwyciężyć smutku, jaki to w nim zrodziło.

Wśród tego dziwnego życia jednego ranka nadbiegła poczta i z wózka wysiadł doktor. Porzucił on swych chorych, życie, do którego był nawykł, i spieszył na zawołanie Lenory. Zobaczywszy go przez okno chaty, wybiegła naprzeciw niego właśnie w chwili, gdy warkocz czarnych włosów nie spleciony jeszcze miała zgarnąć, cała oblana temi kruczemi włosami, zarumieniona od radości, witając go jak zbawcę i ciągnąc do siebie.

Pocziwy przyjaciel uśmiechał się milczący i usiłował przybrać ton żartobliwy, aby rozrzewnienia, którego doznał, nie okazać.

— Niech się panna Lenora kończy ubierać, a mnie naprzód wykomenderuje do chorego... Po to ja

tu jestem, abym się na coś przydał. Kto wie, jak go mój kolega tutejszy leczył.

Lenora wskazała mu ręką na chatę, przed którą stał Sandor, wpatrzony w jej krucze warkocze i kibić dziewiczą... Węgier domyślił się doktora, o którym się wiele nasłuchiwał, i sam mu się przedstawił.

— Chodź pan — rzekł — chory jest tutaj, wszyscyśmy czekali z upragnieniem jego przybycia...

Zbigniew o kuli dowlóknął się do drzwi... ale spojrzenie nań nie pocieszyło gościa. Był to cień człowieka, w którym dogorywała młodość, niekiedy błyskając rumieńcem przedśmiertnym, to znów przygasając na dnie cale. Doktorowi dość było rzutu oka wprawnego, ażeby dostrzedz, że uzdrowienia nadzieja była mała lub żadna. Potłuczone piersi, pogruchothane kości, wstrząśnienie ogólne, może niema rozpacz jakaś dobijała Zbigniewa. Uśmiechnął się, podnosząc niebieskie oczy ku doktorowi, podał mu rękę wychudłą i ze spalonych warg ledwie mógł słaby głos wydobyć.

Po kilku wymienionych słowach, doktor wziął się do opatrywania chorego; nie powiedział nic, ale znalazł go gorzej, niżby był być powinien.

— Panie Zbigniewie — rzekł — mógłbyś być zdrow, gdybyś chciał.

— Jakto, konsyliarzu?

— Musisz się czemś gryźć, musisz sobie czemś szkodzić; młodość już cię była powinna uleczyć... a ty mi cherlasz... jeszcze... Będę gderał...

— Czy mógłbym przejechać do Warszawy?  
Doktór głową potrząsł.

— Poczekawszy — rzekł — nie teraz...

W chwilę potem nadbiegła Lenora. Weszła, bo miała to przekonanie, że doktor był wszechmocnym; osmutniała jego twarz nic jej pocieszającego nie powiedziała. Wyszli z nim razem na ganek.

— Jak pan znajdujesz Zbigniewa — spytała.

— Niedobrze — odparł doktor — ranyby go same nie zabiły, ale jest coś, co im pomaga. Chłopiec się zagryzać musi, zazdrosny może... o Węgra... Nie wiem, czym zgadł, ale tak mi się to przedstawiło w pierwszej chwili, a ja wierzę w pierwsze wrażenie.

— Nie może być zazdrosny — odpowiedziała Lenora — bo tego uczucia, które zazdrość rodzi, nie było w nim... Staralam się o to, aby go nie obudzić, i ufam, że Zbigniew miał tylko dla mnie trochę wdzięczności i szacunku.

— A ja sądzę, że się oddawna kochał szalenie — przerwał doktor. — Bądź co bądź, trzeba na to coś radzić, bo chłopak jest bardzo źle, a szkodaby go było.

— Drogi przyjacielu! — zawołała Lenora — zrób, co jest w mocy ludzkiej... jabym go nie przeżyła!

Stary spojrział na nią: była spokojną i twarz jej nie oblokła się nawet rumieńcem.

— Tak, kochany doktorze — dodała Lenora — z tego uczucia macierzyńskiego, siostrzanego, jakie

mam dla niego, ani przed tobą, ani sama przed sobą wytłumaczyć się nie potrafię... Kocham go jak brata, stworzyłam sobie w nim rodzinę, której mi brakło... On mi poświęcił życie... jeśli jest ratunek jaki...

— Jeden tylko — zawołał uśmiechając się do-  
kór — jeden.

— Jaki?...

Stary się zawahał.

— Niech mu się szczęście uśmiechnie... któż  
wie, może go to ocalić.

Lenorze lza zakręciła się w oku.

— Jesteś moim przyjacielem — rzekła — nie mam dla ciebie nic skrytego... chodź, oddałmy się, odsłonię ci serce moje. Omyliłeś się, jeśliś sądził, że go kocham... To nie jest uczucie, któreby miłością nazwać się mogło. Nie; Zbigniewa nawykłam prawie uważać za dziecko moje. Między nim a mną był stosunek, z którego nigdy czulsze się nie rodzi uczucie... Pamiętam go nieokrzesanem, biednym chłopięciem... czuję się silniejszą nadeń... a tam, gdzie niewiasta jest panią, nie ma dla niej i nie może być szczęścia. Nie wiem, czyś mnie zrozumiał.

— Najzupełniej — odpowiedział doktor — a mimo to powtarzam, jeśli chcesz życie jego ocalić, daj mu nadzieję szczęścia...

— Doktorze, to znaczy: skłam! — zawołała Lenora — to znaczy: powiedz, że kochasz, gdy serce twe chłodne... ja tego uczynić nie mogę.

Gość zamilkł. — Stanie się więc, co Bóg nazaczy — rzekł po chwili — nie mówmy o tem.

— Uważam cię za ojca — dodała Lenora — nie wymagaj spowiedzi, bo z uczuć spowiedź według mnie jest świętokradztwem; uczucia winny się kryć w poświęconej arce, w głębi przybytku... Powiem ci tylko słowo... kocham innego...

To mówiąc, oddaliła się spiesźnie ku chatce swojej, a doktor wszedł napowrót do pacyenta, który w oknie siedział milczący, osłupiały, z oczyma na góry sine skierowanemi bezmyślnie.

— Wiesz — począł zcicha do niego — że mi cię szczerze żal... Nawykłem patrzeć na cierpienie, na śmierć, na bole.. ale gdy w sile wicku młody daje się śmierci nie broniąc, złożywszy broń, bez ochoty do życia... jak ty... panie Zbigniewie, któremu jeszcze cały świat stoi otworem... dziwi mnie to i smuci. To istne samobójstwo, które bądź co bądź, zawsze jest dowodem tchórzostwa, a w obliczu Boga i bliźnich zbrodnią wielką, nie do przebaczenia... Bo przecież nie dla siebie tylko żyjemy; każdy ma jakieś obowiązki do spełnienia, których porzucać mu nie wolno... a twojaż matka, panie Zbigniewie?

Zbigniew głowę odwrócił; rumieniec poczynął się rozlewać po bladej twarzy. •

— Dać ci lekarstwo — mówił doktor — na co się to zda, kiedy ja czuję, że ty zobojętniały, zastygły... chcesz umierać.

— Ja? doktorze...

— Ale tak jest! — mówił stary — chcesz umierać z niedorzecznej fantazyi, gdy mógłbyś żyć chwalebnie i pożytecznie. Lękasz się cierpienia i chciałbyś uciec przed niem... zapewne to bardzo wygodnie, ale wcale nie zaszczytnie. Cóż wart taki człowiek? Tyle co żołnierz, który ucieka z pola bitwy.

Zbigniew westchnął...

— Proszę kochanego konsyliarza — zawołał silniejszym nieco głosem — dlaczegoż mnie obwiniasz... gdy choroba moja jest skutkiem... przypadku?

— Tak, ale kuracyi tego nieszezęsnego wypadku lepiej od lekarza mógłbyś dopomódz, gdybyś chciał żyć!

— Ale cóż doktorowi dało tę myśl, że ja żyć nie chcę!

— Ta myśl wyryta jest na twojem czole — rzekł lekarz — nie możesz jej ukryć przedemną... Smuci mnie ona szczególnie dlatego, że miałem lepsze wyobrażenie o tobie, a teraz poznaję, że się omyliłem.

Doktor widocznie zamiast lekarstwa używał ambicyi jako pobudzającego środka, bo wiedział on dobrze, iż w duszy młodego człowieka, gdy już nic rozgrzać nie potrafi, środek ten nieraz działa najskuteczniej. Mówił dalej:

— Nie chcę dobadywać się przyczyn, które tę apatyę w tobie zrodziły, panie Zbigniewie, chociaż mnie, staremu doktorowi, wolnoby było odgadnąć je, odsłonić i po ojcowsku za nie polajać.

Zbigniew się żywo poruszył... czuł się odgadniętym, wstyd mu było...

— Toż samo, co cię popchnęło w pogoń za panną Lenorą, co było przyczyną tych ran i wypadku, dzisiaj zrodziło zwątpienie i zubożenie dla życia. Pozwól sobie powiedzieć, że pojmując miłość młodzieńczą, choć doktorem jestem, nigdy jej tak prozaicznie nie wyobrażałem sobie, ażeby pragnęła koniecznie być zaspokojoną brutalnie lub skazywała się na śmierć. Miłość, jak ja ją stary rozumiem, choćby była bez nadziei, winna do życia budzić, a nie zniechęcać do niego. Nie jestże szczęściem widzieć istotę ukochaną, służyć jej z zaparciem się i zdala pocichu uwielbiać? Może to pojęcia mojego wieku... ale uczciwą miłość, w której niema egoizmu, taką sobie przedstawiam

Zbigniew coraz bardziej był pomieszany.

— Szanowny konsyliarzu, budujesz przypuszczenia, do których ja, nie rozumiem prawdziwie, jak mogłem dać powód? czem?

— Doktor musi być jasnowidzącym...

— I może się mylić.

— Może, to prawda! Zobaczymy więc jutro, pojutrze, czy kochasz matkę szczerze, a pannę Lenorę tak, jak powinienes ją kochać... czystem sercem wdzięcznego wychowanka. Zresztą—dorzucił doktor, wstając—kto ma życie, ma wszystko. Dzieją się cu-

da... spodziewać się można zawsze... póki w piersi tchnienie... póki w sercu bicie.

Na tem przerwana została rozmowa... a że do-  
 któr po raz pierwszy oglądał podtatrzańską okolicę,  
 wyszedł przypatrywać się łańcuchowi gór i studyo-  
 wać florę i fizyognomię kraju dla siebie nowego.

Nadto miał wszakże na myśli i sercu, ażeby  
 z wielką uwagą badaniom się tym oddać; los Zbi-  
 gniewa i ostatnie słowa Lenory zajmowały go naj-  
 mocniej. To—kocham innego!—tkwiło mu w umy-  
 śle nierozwiązane dlań i niezrozumiałe. Byłże ktoś  
 zupełnie nieznanym, czy wreszcie ów wdzięczny i zrę-  
 czny magnat węgierski, czy lord, o którego zajęciu  
 się Lenorą w całej mówiono Warszawie. Odgadnąć  
 było trudno, pytać niegrzecznie... a stary wszakże  
 był ciekawym człowiekiem, który to serce mógł pozys-  
 kać.

Dumał tak chodząc po trawniku i przypatrując  
 się uroczemu obrazowi łańcucha gór w oddaleniu,  
 gdy Lenora wyszła z chaty, ubrana całkiem czarno,  
 tak jak wówczas chodzili wszyscy, z wyrazem twa-  
 rzy poważnym, ale spokojnym. Zbliżyła się do her-  
 boryzującego, dotknęła jego ramienia i powitała go  
 uśmiechem.

— Prawda — rzekła — że te Alpy nasze cudnie  
 są piękne w swym majestacie grozy i milczenia,  
 z nieniącem się licem, po którym przechodzą rumień-  
 ce i śmiertelna bladość. Gdybyś je mógł widzieć jak



ja... w tajemniczych ich wnętrzach... jakżebyś ukochał tę naturę górską, ten skamieniały dramat, ten świat cudów smutnych... w których kontemplacyi dusza się oczyszcza i podnosi. Widziane zdala te góry mogą zachwycić, poznane zblizka muszą obudzić miłość. Gdybyś poszedł do Strażysk, na Kościelisko, do Morskiego Oka, wdrapał się na szczyty, okiem przemierzył przepaście, duszaby ci się otwarła nowym zmysłem straconym, miłości natury.. W mieście ten zmysł się traci.

— A raz stracony się nie odzyskuje — dodał doktor — dla mnie jeszcze miłość nauki byłaby przeszkodą do pochwycenia strony poetycznej Karpat... widziałbym w nich studyum do analizy, nie obraz... Z twoją młodą duszą...

— Młodą—przerwała smutnie Lenora—nie jest już ona młodą... cierpienie zmarszczki na niej wyrzyło... przekwitła młodość na zawsze... a kielich życia zamknięty...

— Dla ciebie — zawołał doktor — dla ciebie?

— Tak, dla mnie—odparła Zara—nie łudzę się wcale. To, co pismo powiada, że dzieci noszą na sobie grzechy ojców, jest prawdą, jak wszystko, co ono głosi. Grzechów tych żadna nie zetrze pokuta... Jestem cyganką, jestem córką włóczęgi, w którym niedola zatarła szlachetniejsze instynkta i powinnam pokutować za winy pokoleń mi nieznanych... Fatalizm...

— Nie—oparł się doktor—wiek nasz stał te piętna średniowieczne z wyklętych rodów.

— W teorii, ale w życiu są niezmazane... Dlatego—dodała Lenora—postanowienie moje niezmiennie: usunąć się od czynnego w życiu udziału, wstać co najprędzej od biesiady żywota i... zniknąć...

— A miłość, o której wspomniałaś mi? — zagadnął poufnie doktor.

Lenora się zarumieniła.

— Ona pójdzie ze mną! — szepnęła cicho — ale ani ten, co ją natchnął, ani nikt w świecie wiedzieć o niej nie będzie. Nie chcę nikomu przynieść do domu hańby mego pochodzenia, wstydu za krew moją, przekleństw, co ciężą nad tajemniczym ludem mych braci.

— Cicho! cicho! — przerwał stary — to są młode marzenia... o których ja mówić nie pozwalam.

Zbigniewowi dałem dobrą naukę, która mu pełnie posłuży... albo... albo już nic go wskrzcsić nie potrafi. To się da widzieć wkrótce... Ja sądzę, że odżyje...

Teraz chodźmy do niego i bądźmy na uparte-go weseli... z musu. Nakazuję to, jako receptę...

**P**ani Laura, która się ubierała przed zwierciadłem z tem staraniem, jakie niepiękne i niemlode panie poświęcają naprawie tego, co nieublagany czas codzień psuje i niszczy, oddaną była właśnie misternemu ułożeniu włosów tak, aby zmarszczki czoła i otoczenia oczów nieco pozakrywały, gdy służąca położyła list przed nią. List był wcale niepożądany, bo odrywał od zajęcia, które z pewną logiką się odbywało, którego przerywać się nie godziło; spojrzała nań okiem niechętnem Laura, bo niestety, co do ciekawości była córką Ewy nieodrodną, a spojrzawszy, krzyknęła i porwała się, zapominając o włosach i o zmarszczkach...

— Stefciu! Stefciu! — zawołała, rozrywając kopertę i chciwemi połykając oczyma maleńki bilecik— Stefciu, wszak to nasza Lenora, heroina, powróciła... Doktor ją przywiózł! Dziś jeszcze będziemy ją widziały... Nie, ja nie wytrzymam... ubiorę się naprędce...

ubieraj się ty co żywo... pójdziemy do niej. Już z listów doktora wiem, że ta kochana moja... przeżyła niesłychane przygody... jedzie podobno za nią magnat węgierski... a tu mój Lord wzdycha i chudnie, codzień się dopytując... Słowem... że awantury... tysiąc nocy...

— Stefcia! ja już jestem gotowa! Gdzie mój szal? szukaj rękawiczek! Skaranie Boże, iż zawsze wszystkiego szukać potrzeba... życie upływa na gubieniu i mozolnem znajdywaniu... Flakonik? zobacz gdzie flakonik... parasolik? patrzcie! nie ma już i parasolika...

Tak latając, krzątając się, gderząc, śmiejąc się, pani Laura ledwie poprawiwszy coś około twarzy, już pobiegła na schody, nie patrząc, czy Stefcia idzie za nią... śmiała się sama do siebie... śpiewała, a wyszedłszy na trotuar, rozpoczęła wojnę z przechodniami, którzy posadzić mogli, widząc ją tak lecącą spiesźnie, iż się gdzieś palić musi.

Palilo się istotnie w głowie pani Laury nieustannie... i wiek nawet ognia tego przygasić w niej nie mógł. W pałacu Zamoyskich, do którego dążyła, od wczorajszego dnia, wszystko było w nadzwyczajnym ruchu. Kasia biegła rozpromieniona... Pan Zygmunt Haraburda cieszył się z powrotu ideału, a nawet Roman Junosza przeglądał się w zwierciadle na intencję pięknej panny. Odrazu brzmiał Erard pod palcami spragnionej muzyki cyganki, której z oczów lały się strumieniem łzy, pamięci dni szczęśliwszych poświę-

cone. Każda z tych melodyj przywodziła jej wspomnienie jakiejś chwili, jakiegoś uczucia, straconej nadziei, przeżytego złudzenia...

Niech wam będzie na szczęście, ludzie kamienni, co nie miłujecie pieśni, śmiejecie się z poezyi, wyszydzacie uczucie i wierzycie w rozum tylko; nikt z tych, co cierpią sercem, na waszą prozę się nie pomienia. A jeśli świat ma się przerobić wedle waszej formy i programu, błogo nam będzie umierać, abyśmy go nie widzieli.

Drzwi się otwarły z trzaskiem, pani Laura wleciała, wpadła... rzuciła się w objęcia przyjaciółki, a tyle naraz chciała powiedzieć, że się zakrzuszyła uczuć i wyrazów natłokiem.

— Siadaj! — zawołała, prowadząc Lenorę do kanapy — podnieś tę śliczną główkę, niech ci się przypatrzę, niech zobaczę, co z ciebie zrobiła ta romantyczna włóczęga.

A! strasznieś się opaliła! — dodała po chwili.

— A! jak cyganka! — śmiejąc się z rezygnacją przerwała Lenora — to było w naturze moich przeznaczeń. Jak tylko znalazłam się w mym żywiole, na powietrzu... musiałam odzyskać mego rodu cerę...

— Ale ci z tem ładnie, oryginalnie — rzekła Laura, poprawiając się — to nic nie szkodzi... A! napędziłaś nam też strachu tą eskapadą, heroino ty moja! — Pocałowała ją w czoło. — A co się za tobą Lord natęsknił, jak mnie nudził pytaniami...

Lenora mocno się zarumieniła.

— Przychodził do mnie dlatego tylko, że mu salon mój przypominał wieczorne wasze rozmowy... sam mi się do tego przyznał. Oczarowałaś go... Zmartwi się, gdy usłyszy, że z sobą przywiozłaś, a raczej za wozem okutego przywlokłaś niewolnika... jakiegoś z Węgier magnata...

Lenora się uśmiechnęła.

— To mój wybawiciel.

— I zakochany szalenie? — cicho spytała Laura.

— I roztrzepany niezmiernie — odpowiedziała Zara. — Bawi go to... ale nie spodziewam się, ażeby w życiu co brał na seryo... Dobry chłopak...

— Mówią, że ładny...

— I ładny chłopak... i miło wychowany... ale nic więcej.

— Rozumiem, nie kochasz go! No, a tenże ślamazarny trochę wychowaniec, co się dal zabić dla asińdzki... żyje?

— Żyje! przywieźliśmy biednego do Warszawy, dzięki staraniom doktora zdaje się, że ocalenie jego zapewnione.

— Wszystko więc jak najszcześliwiej się składa — przerwała Laura — dodam dla twojej wiadomości, że hrabina Pyza i szanowny jej synalek, napsuwszy sobie krwi, pojechali do wód ją naprawić. W ostatnich czasach tak się im nie wiodło, że nie-

wdzięczną opuścić musieli ojczyznę. Byli przedmiotem niemal powszechnej pogardy.

Panie obie zamilkły... ale Laura umiała cenić czas i pamiętała na krótkość ludzkiego życia, nie mogła więc długiego ścierpieć milczenia.

— Lord już dziś wiedzieć będzie o twoim powrocie... nie darowałby mi, gdybym cię nie uprosiła na wieczór. Musisz przyjść na herbatę...

— Daruj mi, droga pani — ściskając ją, szepnęła Lenora — to być nie może. Cenię twe serce dla mnie, gotową jestem na rozkazy, ale nie będę u mej pani, chyba gdy nikogo tam nie zastanę, gdy same pozostać będziemy mogły... Ze światem zerwałam na zawsze...

— No? a Lord? — szepnęła Laura.

— Lord? ale czemże ja dla niego jestem, a on dla mnie? Dobrymi znajomymi, których się mile wspomina...

— On się szalenie kocha...

— We mnie! w cygance! w córce włóczęgi? — potrząsała głową — a! nie, droga pani, to być nie może! Ta miłość byłaby obelgą dla mnie, bo wieczną i uprawnioną być nie może, a z mej strony ja jej ustępstw nie uczynię... Kochanką niczyją być nie chcę, niczyją żoną nie mogę, zostanę sama...

Laura popatrzyła na nią i znalazła ją cudnie piękną w tym zapale i ożywieniu, z czarnymi ognistymi i różowemi wargi pół otwartemi, z pod których perłowe, prawdziwie cygańskie, świeciły ząbki.

— Sama! dziecko moje! — westchnęła Laura — tak mówi zuchwała młodość, czując w sobie siły do życia... ale przejdą lata... ostygniesz... zmienisz przekonania i przebłagać się dasz kiedyś... Niestety! patrz, aby to nie było za późno...

— Ja się nie zmienię... bo mój los zmienić się nie może — szepnęła Lenora — nie mówmy o rzeczach smutnych...

Laura, korzystając z wyrażonego życzenia, poczęła się trzpiotać, paplać, śmiać, opowiadać i tak przedłużyła rozmowę do ostateczności, bo gdy spojrziała na zegarek, była już godzina obiadowa. Wybiegła więc, biorąc dla pospiechu dorożkę do domu, bo spalony i zepsuty obiad był dla niej wielką klęską... jedzenie i paplanie tylko ją już na świecie utrzymywało.

Ale w księdze przeznaczeń napisanem było, że tego dnia obiad będzie jadła przegotowany, piczyste spalone i leguminę opadłą... w domu bowiem, w chwili gdy wchodziła, nawinął się Lord, który właśnie ze smutną twarzą, nie zastawszy jej, miał odejść. Nie prosić go na chwilę, byłoby niegrzecznością. Usiadła na kanapie w nadziei, iż niedługo zabawi, a że Lord wszystko, co czynił, robił powoli, rozważnie, nie spiesząc się, obrachowanie, rozmowa poczęła się bez żadnego względu na porę obiadową.

— Zgaduję, czemu winnam odwiedziny hrabiego — zaśmiała się gospodyni — pewnie już wiecie



o powrocie tej mojej heroiny, kochanej Lenorki, od której ja właśnie powracam... nieprawdaż?

— Przyznaję, że o tem słyszał, i nie będę tał, że to przyspieszyło wistocie moją bytność u pani...

— Otóż to taką szczerotę ja lubię — odparła Laura. — Prawda? ciekawi jesteście losu tej biedaczki? Wróciła zbiedzona, znękana, opalona trochę, ale piękniejsza niż kiedykolwiek była... a duszą i sercem zachwycająca.

Lord nic nie odpowiedział, patrzył na dno kapelusza. Po chwili milczenia odezwał się spokojnie:

— Kiedyż będziemy mieli szczęście ją oglądać?

Laura westchnęła.

— A! mój drogi hrabio — rzekła — to właśnie najboleśniesz, że ona ma mocne postanowienie całkiem się od świata usunąć... że chce... no! nie wiem właściwie, co z sobą pocnie, ale mi wręcz na zaprosiny odpowiedziała, iż bywać nigdzie nie myśli, że musi zerwać... *Que voulez vous*, zna swe nieszczęśliwe położenie, ma swą dumkę i wie, że w świecie naszym nic ją nie czeka nad walkę i upokorzenie.

— Nie rozumiem tego — przerwał Lord stanowczo — żyjemy w XIX w., dziś nikt o nic więcej oprócz wychowania nie pyta...

— A! tak, mój hrabio, trzeba przyznać, iż u nas zwłaszcza wiele się jeszcze zważa na pochodzenie, imię... *antécédens*... Juściż, kochany hrabio, Lenora przy całej swej wyższości, talentach, wdzięku, rozu-

mie, nie może się spodziewać, aby się z nią kto go-  
dzien jej ożenił.

— Dlaczego? — spytał Lord...

— Ale, mój Boże! na cóż to ukrywać, co wie-  
dzą wszyscy? Lenora jest córką cygana... włóczęgi.  
Ojciec jej żyje...

Hrabia począł patrzeć w kapelusz...

— Tak, to prawda — rzekł — a pomimo to je-  
dnak panna Lenora jest tak urocza, że gdyby w kim  
miłość wzbudziła, możeby na to wszystko nie zwa-  
żał, jeśliby wiedział, że jej serce pozyskał...

Laura spojrzała na poważnego młodego czło-  
wika, który zwolna dobył angielski chronometr z kie-  
szeni, popatrzył nań, schował napowrót i rzekł powoli:

— Panna Lenora jest zachwycającą istotą!

— *A qui le dites vous?* Ja to wiem najlepiej —  
poczęła żywo Laura — ja, co ją znam lepiej niż  
wszyscy, ja, co czytam w jej sercu... dla której ona  
nie ma tajemnic. Al tak, to istota zachwycająca!

— Niechże pani, co z nią jesteś tak blisko, sta-  
ra się ją odwieść od rozpaczliwego kroku... od tego  
wyrzeczenia się przyszłości lub — ucieczki z kraju...

— Z pewnością starać się o to będę, ale ona  
ma charakteru wiele, a jeśli chcecie — uporu...

— Przyjaźń go przelamać powinna...

To mówiąc, Lord jeszcze raz na zegarek spoj-  
rzał. Laura myślała, że nareszcie zlituje się nad jej  
obiadem, ale snąć roztargniony patrzył na chrono-

metr nie widząc godziny, i znów, jakby się wahał z wypowiedzeniem myśli, siadł, dodając zwolna:

— Ja sądzę, że to są chwilowych wrażeń skutki, znużenie, zwątpienie... które przejść powinno, gdy przemówi głos przyjaźni...

— Zdaje mi się — przerwała Laura — że gdybyś, hrabio, przybył mi w pomoc, możebyśmy zwyciężyli...

— Ja najchętniej — odezwał się hrabia — ale gdzie pannę Lenorę spotkać mogę? Pod wszystkimi względami nie wypada mi narzucać się jej z odwiedzinami... Czy mogę mieć nadzieję, że ją tu kiedy znajdę?

— Niestety! nie wiem... odmówiła mi — westchnęła Laura...

— Wiesz pani co? — rzekł po namyśle hrabia — nie trzeba zbyt gwałtownie opierać się jej zrazu... Musimy użyć podstępu... Powiedz jej pani, że wcale nie sprzeciwisz się temu postanowieniu zerwania ze światem, ależ przecie raz, jeden raz, wieczorem u pani być może, aby swych dawnych znajomych i przyjaciół pożegnać. Ten jeden raz nie odmówi nam bytności swojej... Zbierzemy się w szczupłym gronie może, ale najżyczliwszych, a rachuję na wrażenie tego wieczoru, na serdeczne wyrazy, które usłyszy... że się w postanowieniu zachwieje.

Laura aż uderzyła w ręce z radości.

— Przecudowna myśl! — rzekła — ale mnie mu-

sisz, hrabio, autorstwa jej odstąpić, ja ją przysposobię za własną... i... spróbujemy...

Laura była pewną, że tym razem już Lord jej da zjeść szczątki obiadu, ale on uśmiechnął się poważnie i odezwał:

— Uczyń pani z myślą moją, co się jej podobą, zredaguj ją genialnie, zmień w czyn... byle ona wpłynęła za zachowanie towarzystwu naszemu osoby, bez której ono osierocone zostanie... Będę oczekiwał na rozkazy pani i niecierpliwie wyglądał tego wieczoru, który o losach naszych rozstrzygnie.

To mówiąc, pożegnał nareszcie gospodynię. Steficia czekała we drzwiach na skinienie, by kazać zupę podać... Obiad był zły... Laura nieszczęśliwa, ale pochwycona kosztem jego rozmowa pełna znaczenia, wyrazy Lorda, pod którymi domyśleć się godziło mnóstwa rzeczy, pocieszała ją tak dalece, że nawet nie narzekała na swą niedolę. Chciała jak najprędzej powtórzyć Lenorze, co o niej mówił hrabia, i była pewną, że teraz musi ona zmienić postanowienie. Wedle niej bowiem, to, co milczący hrabia wypowiedział, znaczyło prawie tyle, co formalne oświadczenie się o rękę sieroty...

Sama ta myśl, że tak wielkie a niespodziane szczęście spotkać mogło cygankę, a że do dokonania tego cudu ona się przyczynić miała, paliła ją jak ogniem. Nie dokończywszy deseru, nie popłókawszy zębów, narzuciła szal... nie było chwili do stracenia...

Niosła z sobą... szczęście! cud! niepojętego coś, niezrozumiałego, olbrzymiego; czuła, że jej wyrazów braknąć będzie na wypowiedzenie... tej niesłychanej nowiny. Lenora, nie spodziewając się już wcale dnia tego drugich odwiedzin, niepomalu była zdziwiona, gdy ją wśród jakiegoś pakowania, czy rozpakowywania sukien i bielizny, napadła piorunowo zjawiająca się w progu Laura.

— A! kochanie moje! — zawołała — przynoszę z sobą... daj mi odetchnąć... ach! przychodzę z dziwnymi rzeczami... Zobaczysz...

Upadła na fotel... Nie mogę mówić, ledwie dyśzę, tak nieuważnie biegłam, żeby ci zwiastować niezmiernie ciekawą i ważną wieść... Ale zaraz, niech spocznę...

Cóż to... ty się widzę pakujesz czy co?

— Ja? — zarumieniła się Lenora — nie... porządkuję...

— Ten tłumoczek...

— To... z drogi... — nieśmiało odpowiedziała gospodyni. — Ale cóż mi kochana pani przynosisz?

— Czekaj, niech zbiorę myśli, ażebym się nie poplątała... Czasem, gdy się bardzo spieszę, zaczynam od końca... a chciałabym bardzo dokładnie ci opowiedzieć wszystko! Rzec niezmierniej wagi! Mówię ci! coś cudownego! Miałam tylko co rozmowę z Lordem. — Rumieniec wystąpił na twarz Lenory... i ręka, w której trzymała suknię, zadrżała.

— Wystaw sobie, ledwie się dowiedział, żeś powróciła, przyleciał do mnie. Przyznał mi się otwarcie, że go nie co innego sprowadzało... Pragnął zaraz cię widzieć u mnie. Naturalnie odpowiedziałam mu, że mało mam nadziei, ażebyś nas uszczęśliwiła swą bytnością, bo się chcesz od świata zupełnie usunąć. Jak to posłyszał, zaprotestował... Ja tedy myślę sobie, wybadam cię, kochanku. Zaczęłam mu tłumaczyć, że inaczej postąpić nie możesz, że czujesz swą wartość, a wiesz, iż cię w tym świecie dla głupich nie ocenia przesądów... Od słowa do słowa przyszło do tego, żem powiedziała, iż koniec końcem nikt się nie ożeni z cyganką. Na to Lord, uważaj tylko, moja droga, co to ma za znaczenie w ustach człowieka takiego jak on — na to Lord... to są jego własne słowa... słuchaj!! na to Lord — jak ciebie kocham, powiedział najwyraźniej — panna Lenora jest tak uroczą (*c'est son expression*), że gdyby w kim miłość wzbudziła, a mógł być pewien, że serce jej pozyskał... na nicby wówczas nie zważał... Rozumiesz, co to znaczy? — rzekła triumfująco Laura...

Lenora stała przed nią zarumieniona, lecz smutna.

— Droga pani, rozumiem!! rozumiem! — odezwiała się — to znaczy, że w chwili szalu znalazłby się człowiek, któryby dla dogodzenia namiętności zamknął oczy na następstwa, ale potem?... Gdy światby mu począł rzucać szyderstwa w pierś ostygłą, gdy dzieci jego zaczęłyby pocichu zwać cyganami, gdy

w towarzystwie zazdrość jednych, obrażona duma drugich, poczęłyby dręczyć jego żonę... gdy on sam co chwila spotykałby po drodze ironię, dwuznaczne słowa... gdy tę miłość dla istoty odrzuconej przyszloby mu opłacać codzienną męczarnią!... ileżby razy pożałował! Wystawcie sobie los tej kobiety, czującej, że jest kulą u nogi tego, któremu by szczęście przynieść chciała!... A! pani droga! tylko zaślepienie i egoizm mogłyby kobietę pchnąć w taką przepaść nieszczęścia... nieszczęścia tylu istot... drogich.

Zakryła oczy rękami...

Laura słuchała i nie wiedziała, co ma odpowiedzieć, czuła, że Lenora widziała jasno, że sądziła zdrowo... że zbić jej argumentów było niepodobna; zwróciła się więc zręcznie tylko ku podanej sobie myśli ostatniego wieczoru pożegnania, i poczęła przypuszczać szturm, niezwłocznie przechodząc do tego przedmiotu.

— Wiesz co — rzekła — zrobisz, jak ci się podoba, ja w tej chwili, gdy ty jesteś podrażniona, zniechęcona, zboląła, nie będę z tobą się rozprawiała... Nie chcesz nas?? bolejemy, ale cię zmusić nie możemy; ja proszę o jedno... o wieczór tylko pożegnania... o pokazanie się raz u mnie! Przecież to nie pociąga za sobą żadnych obowiązków; tyle razy ocierałaś się o nas i nic ci się nie stało... Daj nam jeden wieczór...

— Chcesz pani, bym boleśniej potem czuła rozstanie — spytała Lenora.

— Nie, chcę, byś się przekonała, że my ci dobrze życzymy i kochamy... a może kiedyś nawrócona, ostygła... wrócisz do nas jeszcze... Ja proszę jako dowód przyjaźni, o jeden wieczór.

— A! droga pani moja — odezwała się Lenora — czyż godzi się, byś ty prosiła o to, o co ja chyba powinnabym się domagać!

I pospieszyła uściskać ją...

— Więc przyjdziesz?

— Tak! pożegnać was; ale jeszcze jeden mały warunek! Proszę, nie ogłaszajcie, nie mówcie nikomu, że to jest rozstanie i pożegnanie... Byłoby mi przykro stać jak pod pręgierzem i żebrać współczucia...

— Ale nikt, nikt o niczem wiedzieć nie będzie! ręczę, oprócz hrabiego, który już wie o twem postanowieniu. — Chwilę zamyśliła się Laura.

— A zatem... proszę cię na piątek, na herbatę i rachuję na ciebie. Spraszać wiele osób nie będę... nie chcę ci robić subiekcyi, bądź spokojną...

Uścisnęły się jeszcze i pani Laura zamyślona, zdziwiona nieco niepowodzeniem poselstwa... odeszła.



**T**o znał dawniej Warszawę — o teraźniejszej mowy już nie ma — wie, jakie w niej tętniało życie, jak każdy wypadek ważniejszy, ukazanie się ciekawej postaci, młodego talentu, zajmującego pod jakimkolwiek względem człowieka, rozbudzało wszystkich i wprawiało w pewien rodzaj gorączki; jak się dobijano, aby być u Łuszczewskich, u pana Leona, gdy ktoś przybycie cudzoziemca, znakomitości lub choćby ekscentryka zwiastował. W teatrze na przedstawienie artysty, w resursach na ucztę wesołe dawane na cześć przybyłych, docisnąć się nie było można. Miasto potrzebowało żyć i szukało karmi chciwie. Tak samo po domach prywatnych, gdzie kogoś zobaczyć, pomówić z kimś było można, goście proszeni, wpraszać się i nieproszeni napływali...

Mimo zajęcia polityką, z wieczorem piątkowym Laury inaczej t.ż być nie mogło, wygadał się ten i ów, że ostatni raz ma się na nim ukazać owa ory-

ginalna wychowanka wojewodziny, że to jest wieczór pożegnalny, bo ona świat opuszcza... Dodawano, że ma być magnat węgierski w stroju narodowym; że Lenora da się słyszeć na fortepianie, że zgotowano jakąś niespodziankę, słowem we środę już Laura była obleżona. Napróżno [się wymawiała tem, iż dała słowo, że nie będzie prosić nad kilka osób, każdy chciał być wyjątkiem, używano protekcji, wciskano się pochlebstwy, i obliczywszy spodziewanych gości, przestraszona gospodyni postrzegła, że jej zaledwie starczy salonu, filiżanek i krzesełek...

Ale za to wieczór robił po Warszawie ogromną sensację; we czwartek już spotykając się na ulicy, pytali wszyscy jedni drugich: Będziesz u pani Laury? i kto na piątek miał zamówione małe kółko znajomych, musiał przyjęcie na inny dzień odłożyć. Lenora wcale o tem nie wiedziała. Gospodyni, trochę niepokojna, spodziewała się przed nią wytłómaczyć, a pokusie oprzeć się nie potrafiła, boć miło to zawsze, gdy o domu i pani jego tydzień jaki próżnujący rozmawiają.

Na parę godzin przed otwarciem salonu wszystko było w porządku, filiżanek i krzeseł dopożyczono, dwóch lokajów w białych perkalowych rękawiczkach do roznoszenia herbaty najęto, wszystkie lichtarze domowe były w rekwizycyi, dwa ogromne torty stały na stoliku, i panna Stefania zmęczona przystępowała do toalety... O ósmej już w salonie siedziało osób

parę, a salon zdrajca miał fizyognomię świąteczną. Nie przewidując takiej ekshibicyi, Lenora przyszła znów w sukni czarnej, z jedną kamelią we włosach, smutna, dosyć roztargniona i zakłopotana... Wszyscy ją otoczyli natychmiast... a że goście coraz przybywali tłumnie, nie postrzegła, jak się salon zapelnił. Zmieszana liczbą osób niezwykłą, rzuciła błagający wzrok na gospodynię, ale ta, zrozumiałwszy ją, nadbiegła i zaklęła się, że nie prosiła nikogo... a cóż miała począć z natrętami?

Nadeszedł wreszcie hrabia i zaledwie przywitawszy Laurę i kilka osób, z widocznym pośpiechem zbliżył się do Lenory, co wszyscy uważali. Uważano także rumieniec na bladej jej twarzy, i to, że Lord utkwil przy pięknej cygance... Rozmowa rozpoczęła się natychmiast, z jej strony bardzo ostrożna i chłodna, z jego niezwykajnie jakoś natarczywa. Kto nie mógł dosłyszeć jej, zgadywał z wejrzeń i ruchów... Byli tacy, którzy ją sobie w pamięci stenografowali z taką trafnością, jak O. Kircher przed Champollionem czytał hieroglify.

— Nastraszyłaś nas pani niepomalu — odezwał się hrabia — swym wyjazdem niespodzianym i ekcentrycznym; ale nareszcie mamy panią znów i tym razem nie puścimy... Nie śmiem pani pytać o przygody podróży, ale podobno nie zbywało na nich...

— Pojmiesz hrabia, że się z tych rodzinnych smutków i przygód trudno spowiadać — odparła Lenora.

— Ale to są już *tempi passati!* — dodał Lord.

— Są jednak wspomnienia, co nie przechodzą, i losy, które się powtarzają...

— Mówiła mi pani Laura... że pani — począł otwarcie — tak masz złe wyobrażenie o świecie naszym, iż zamierzasz... porzucić nas samych?

— Wątpię, by się to komu uczuć dało...

— Przepraszam panią; tłumy nam nie zabraknie, ale wybranych...

— Hrabio! nie należy zawracać biednej kobiecie głowy pochlebstwem.

— Nie pochlebiam nigdy...

— Jesteś więc nadto a nadto łaskawym.

— Sprawiedliwym!!

Oszczędz, hrabio, mnie... to mi czyni przykrość. Każdy z nas najlepiej zna siebie, a jeśli sumiennym jest, pochwały go bołą, jak wyrzuty.

— Pomimo to ja nie mogę znieść, bym się z panią nie pokłócił — rzekł Lord — przyznaję się, że po to umyślnie tu przyszedłem. Bądź pani ze mną otwartą, jestem szczerym jej przyjacielem, wielbicielem... Na co nam grozisz tem, że chcesz zerwać z nami?

— Dobrze, bądźmy szczerzy, panie hrabio; powiedz mi więc, dlaczego wymagacie po mnie ołtary życia, spokoju, swobody, dla waszej zabawy i przyjemności? Przypuszczam, jeśli każesz, hrabio, że miło wam posłyszeć moje granie, że rozrywam rozmowę,

że wypełniam jakąś próżnię w salonie; i czyż godzi się, byście mnie skazywali na ten żywot bawicielki i monsterka? Temi biednymi talentami nie potrafię nic zyskać nad oklask chwilowy... chłodny, który rozbrzmi i rozejdzie się prędko... Chcecie więc zabić mnie na ofiarę?

— Nie, kochana pani — przerwał Lord — zdaje mi się, że nie dla talentów i uroku chcemy cię posiadać, cenimy twój charakter, umysł... widzimy w tobie istotę wyższą, jakiej naszemu społeczeństwu brakuje...

— Zawsze monsterko! — odparła Lenora. — Jestem gościnnie przyjętą a obcą... nie mam i nie mogę mieć rodziny... a pewną jestem zazdrośnych i nieprzyjaciół. Ale przerwijmy tę rozmowę — dodała z uśmiechem — miarkujesz, hrabio, że nie mogę się bronić, nie tykając wielu rzeczy, którychbym poruszyć nie chciała...

— Jestem posłuszny, milczę — skłonił się hrabia — ale pozwól mi pani zapytać się szczerze, czy postanowienie, o którym mówi pani Laura, jest stanowcze i niezmiennie?

— Po długiej rozwadze i namyśle je powzięłam i mam niewzruszoną wolę usunąć się... gdzieś w ciichy kątek... zniknąć z oczów ludzi.

— Przepraszam panią, będę zmuszony znów o pierwszy przedmiot zaczepić. Niepodobieństwem jest, byś pani została pustelnicą... musisz żyć z ludźmi;

czy sądzisz, że w innych towarzystwa sferach ludzie są wyrozumialsii, skłonniejsi do przyjęcia, do oddania serca i wcielenia obcego kogoś w swą rodzinę? Mylisz się pani, zdaje mi się, demokracja jest w słowach wiele obiecująca... ale sama wyższość pani nie dopuści, by cię tam przyjęto na stopie równości, gdzie umysłem górować będziesz...

Lenora zamilkła, uśmiechnęła się tajemniczo i rzekła:

— Czy między pustynią, wielkim światem i ludem... nie ma już na świecie kątką, gdzieby sierota bez rodziny familię znalazła?...

— Masz więc pani już coś obmyślonego? — spytał Lord.

— Być może... — zagadkowo szepnęła Lenora, usiłując przerwać rozmowę. Nie było wszakże łatwem pozbyć się hrabiego, który z niezmierną grzecznością, ale z niemniejszym uporem krok w krok ją ścigał, czekał, gdy z kim rozmawiała, milczał chwilę, ale starał się nie stracić jej z oka i być ciągle w jej otoczeniu.

Wszyscy zaczęli ją prosić, by grała... nie mogła się oprzeć. Podeszła do fortepianu, zdjęła rękawiczki, usiadła, a że wybór był jej zostawiony, z wielką trafnością, nie chcąc się wydać ze smutnem usposobieniem, nie życząc sobie żadnych sentymentalnych pożegnań, poczęła owego Chopenowskiego poloneza (a dur), który zdaje się napisany, by umarłych cienie z grobu wywołał...

Jest w tym tańcu wojennym, szablistym, kontuszowym coś tak poruszającego, tak elektryzującego. że kto nie poczuje się nim wstrząśniętym do głębi. nie ma w sobie kropli krwi polskiej. Jest to poemat przeszłości, dziki, butny, porywający, szorstki a niesłychanie patetyczny... Ze wszystkich polonezów Chopina ten może najjaśniej przemawia do serca... Jest w nim pieśń wojenna, pochód weselny, coś pijanego i dumnego, a coś razem tak szlachetnego i wielkiego, że dzisiejsze pokolenie czuje się upokorzone i drobne, gdy go słucha. Mimo rażności i wesela... w końcu łzą skończyć go trzeba...

Lenora grała go z ogniem, pasyą, z brawurą niesłychaną, tak jak on być granym powinien... Gdy skończyła... panowało w salonie milczenie uroczyste, którego nikt przerwać się nie ośmielił.

Chciała wstać po nim, ale fortepian otoczono, nie dano jej odejść, modlono o więcej; wybór był trudny... Serce pragnęło czegoś rzewnego, rozum nie pozwalał kwilić na pożegnanie... Po namyśle, godząc wymagania jednego i drugiego, zagrała sonatę Beethovenowską, co się poczyna bezdenną rozpaczą i zwątpieniem dogorywającym, a kończy wybuchem namiętnym i ognistym... tę, którą pospolicie zowią sonatą księżycową... (Clair de Lune). W tej muzyce przynajmniej myśl ukryta była tak głęboko, że jej pospolity słuchacz nie zrozumiał, a serce mogło się całe wyśpiewać.

Z ostatnim akordem wstała tak nieodwołalnie, chwytając za rękawiczki, była tak zmęczoną i bladą, że jej już nikt nie śmiał prosić o nic więcej. Lord czatował przy fortepianie, aby odchodzącą pochwycić. Godzina była już dosyć spóźniona.

— Grałaś pani cudownie, ale ją to wiele kosztować musiało... — rzekł wzruszony — lękam się, byś nam pani nie uciekla, a bądź co bądź... jak o łaskę największą śmiem jeszcze prosić o chwilę rozmowy...

Lenora spojrzała nań i pobladła; poczęli chodzić po salonie.

— Nie mamy tajemnic — odpowiedziała Lenora.

— Pani nie, ja — może!

Szli chwilę razem milczący... stanęli w progu drugiego pokoju, który stosunkowo był daleko mniej przepełniony.

— Tu chłodniej — odezwał się hrabia i postąpił krok naprzód, Lenora zawahała się, ale nie chciała okazać mu obawy, ani nieufności — weszła...

— Pani — rzekł pospiesznie hrabia z widocznym niepokojem... — przebacz mi, że w miejscu i chwili niestosownej odezwę się niewłaściwie, nieprzystojnie; nie mam wyboru... muszę...

— Hrabia z góry możesz być pewnym, iż mu nic za złe nie wezmę...

— Nawet, nawet gdybym tu, lękając się pani stracić, oświadczył jej, że mam dla niej więcej niż



najwyższy szacunek, więcej niż najgorętszą przyjaźń...

— Panie hrabio, dosyć!

— Nie dokończyłem: jeśli pani jesteś wolną sercem, a nie uznasz mnie niegodnym swej ręki... proszę o nią... Spojrzał, w oczach Lenory stały dwie wielkie łzy świecące; ujęła jego rękę i powoli słabym rzekła głosem:

— Dziękuję ci, hrabio, z duszy i serca dziękuję, na całe życie moje starczy mi tej chwili promienistej... Jestem szczęśliwą... Wolno mi powiedzieć ci, że nie kochałam nigdy nikogo, a ciebie kocham i kochać będę jednego do zgonu... ale na Boga, który mnie słucho, przysięgam, że ręka, co nie może być twoją... nie będzie niczyją... Pamięć o tobie poniosę do grobu...

— Jak to? — zawolał przejęty hrabia — nie możesz być moją? dlaczego?

— Nie pytaj, nie mogę! przysięgam. Nadto kocham cię, bym w twój dom i rodzinę nieuchronnie nieszczęście wnieść mogła. Nie mogę! Pozwól mi być godną ciebie... i dlatego nie być twoją; kocham cię, hrabio... nie będę niczyją... rozstańmy się, podając sobie ręce i mówiąc: do zobaczenia na lepszym świecie. — To mówiąc, wyrwała rękę żywo, spojrzała nań, i nim miał czas się rozmyślić, oprzytomnieć, wysunęła się nie do salonu, ale do pokoju przyległego Stefci.

Hrabia był pewnym, że ochłonawszy, powróci

za chwilę, ale czekał już napróżno; Lenora, znając dom Laury, przez garderobę wysunęła się niepostrzeżona do sieni, narzuciła chustkę i wybiegła w ulicę, spiesząc do domu...

Szczęśliwy, ale niespokojny, upojony, powrócił Lord do salonu, gdzie postrzeżono wkrótce, że Lenory nie było. Gospodyni poszła jej szukać... i przekonała się, że uciekła. Przykro jej było, bo naturalnie reszta wieczoru była zepsuta. Przechodząc szepnęła tylko Lordowi: A! niegrzeczny panie, pewna jestem, żeś nas pozbawił Lenory... Nie ma jej nigdzie... Musiałeś być nadto natrętnym.

Hrabia nie odpowiedział nic. Wkrótce potem wysłiznął się zamyślony z salonu, a reszta gości pocichu szepcząc, powoli także opuszczać go zaczęła... Krążyły pomiędzy odchodzącymi najrozmaitsze powieści o tym oryginalnym wieczorze, którego Lord i cyganka byli bohaterami.

Kobiety ruszały ramiona i krzywiły usta...

— Gotów się ożenić! ale rodzina nigdy na to nie pozwoli!

— To niepospolita intrygantka! — szeptały inne...

Nazajutrz nikt temu uwierzyć nie chciał, gdy zrozpaczona i napół oszalała Laura rozniosła między wszystkimi znajomymi swymi, iż Czarna Perelka tegoż dnia opuściwszy świat, wdziała na się sukienkę Siostry Miłosierdzia.

Było to jednak prawdą, a co dziwniej, mówio-

no, że ją widziano z twarzą wypogodzoną, z uśmiechem na ustach, ze spokojem na czole... spełniającą w szpitalu Dzieciątka Jezus najtwardszą służbę nowicyuszki.

Powieść nasza na tem się kończy... bo Zbigniew uzdrowiony zginął na wojnie, a magnat węgierski, przekonawszy się, iż pobyt jego w Warszawie do niczego nie prowadzi, wprost ztąd do Baden pojechał, gdzie sławna paryzka Loreta na dwa tygodnie go ujarzmiła. Poczem wrócił na Węgry i nie mając co robić, zaciągnął się w szeregi najskrajniejszej opozycji. — Pani Laura nie przestała ubolewać nad rozpaczliwym krokiem swej przyjaciółki, który przypisywała (pocichu) miłości dla hrabiego a przekonaniu, iż małżeństwo byłoby niemożliwem.

Lord stał się bardziej milczącym niż kiedykolwiek, oddał się cały poważnym studjom dziejowym, pracy około dóbr swych, ulepszeniom gospodarskim, a ilekroć spotkał Laurę w towarzystwach, zdaleka pozdrowiwszy ją, uchodził zręcznie od rozmowy... Nikt nigdy nie słyszał z ust jego ani imienia Lenory, ani Czarnej Perełki... i twierdzą ci, co go bliżej znali, iż wcale żenić się nie ma ochoty.

K O Ń I E C.

